Numer 39. Należ. poczt. opł. gotówką. Dnia 25 Września 1932



ROLA

Kraków, ulica św. Tomasza L. 32

ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

BLEDNICĘ

BRAK KRWI USUWA
Mra KRZYSZTOFORSKIEGO
WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem
na maladze hiszpańskiej

reguluje słabości kobiece, dodaje siły, podnieca apetyt, **przyczynia krwi, położnicom zadziwiająco szybko przywraca siły,** a specjalnie polecane przez lekarzy po przebytych ciężkich chorobach, przy osłabieniu ogólnem, wyczerpaniu fizycznem, umysłowem oraz braku ochoty do życia. Działa silnie wzmacniająco w chorobach płucnych, leczy zawroty głowy, nudności i oberwanie. Do nabycia w aptekach i drogerjach, gdzie niema, zamawiać wprost z fabryki we własnym interesie, by ustrzec się przed podróbkami, — **żądać wyraźnie Mra KRZYSZTOFORSKIEGO WINO CHINOWO-ŻELAZISTE z Orłem**

Naśladownictwo energicznie odrzucić!

Cena za Fl. zł. 2·25, — Fl. podwójna zł. 4·—.

Reumatyzm

artretyzm, gościec, postrzał, ischias, łamania, nadwerężenia, kłucie z powodu przeziębienia, ból głowy, zębów, katar, przeziębienie, bole żołądka, kurcze i t. p.

usuwa

Mra Krzysztoforskiego
Pain Expeller z orłem

Do nabycia w aptekach i dregerjach, gdzie niema zamawiać wprost z fabryki — we własnym interesie, by ustrzedz się przed **bezwartościowemi podróbkami** żądać wyraźnie Pain Expeller z Orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego — naśladownictwa energicznie odrzucać.

Cena za Flaszkę zł. 1·50.

Krople balsamowe

Wyrobu Mra Krzysztoforskiego z orłem **Balsam Kapucyński** podług przepisu O. Norberta z Pragi

Najskuteczniejszy w bólach i kurczach żołądka, usuwa złe trawienie, pobudza apetyt, wzmacnia żołądek, działa silnie orzeźwiająco, niezawodny w nudnościach, słabościach, wymiotach i omdleniach — nieoceniony środek w czasie podróży i pielgrzymek oraz w słabościach kobiecych. Leczy zastarzałe rany, owrzodzenia, usuwa ból zębów, gardła, dziąseł, chroni zęby od zepsucia. Jako niezbędny środek domowy winien być w każdym domu — w nagłych wypadkach oddaje nieocenioną przysługę.

Żądać wyraźnie balsamu kapucyńskiego z orłem wyrobu Mra Krzysztoforskiego, naśladownictwa energicznie odrzucać — każda prawdziwa butelka jest zaopatrzona plombą metalową z orłem. O ile miejscowa apteka lub drogerja na składzie nie posiada, zamawiać wprost z fabryki. Cena za fl. zł. 1·80.

Warunki wysyłki: Za koszta opakowania, przesyłki i zaliczenia liczymy zł. 1·—, zaś przy nadesłaniu pieniędzy z góry (można w znaczkach pocztowych) liczymy tylko zł. 0·50. — Przy zamówieniu począwszy od zł. 15·— koszta przesyłki, opakowania i zaliczenia darmo, dlatego też korzystnie jest zamawiać wspólnie pod jednym adresem.

Fabryka chemiczna Mr. Krzysztoforski, Tarnów, ul. Towarowa 8.

Jedyny najstarszy i najtańszy w Polsce



Ignacy Cypres

Kraków, ul. Szewska L. 13 Rol.

wysyła mandoliny włoskie po 19 do 30 zł, skrzypce szkolne ze smyczkiem 19 zł., Harmonje z wysówkami 25 zł., wiedeńskie 1-rzędowe 35 zł., dwurzędowe 50 zł., klarnety 8 klap. 32 zł., 10 klap. 40 zł., 12 klap. 45 zł. Niklowy „Gre Roskop" patent z łańcuszkiem 9 zł., niklowy płaski zegarek słyn. marki Enigna 20 zł., brzytwy po 6 i 10 zł., maszynki do włosów 8 i 10 złotych. Wysyłka za pobraniem. Cennik ilustrowany zegarków i instrumentów muzycznych darmo i opłatnie.

Pszczelarze!

Miodarki, podkurzacze, maski na twarz, sita do miodu, węzę sztuczną **pod gwarancją z czystego pszczelnego wosku,** oraz wszelkie inne przybory poleca najtaniej MICHAŁ **POPOW** (dawniej W. Gawor). **Wytwórnia przyborów pszczelniczych** oraz **pracownia blacharska, Kraków, ul. św. Tomasza l. 2,** w podworcu.

Cenniki wysyłam darmo.

Pomysłowy.

Lekarz: Niech pan jada jaknajwięcej jarzyn.

Chory: A czy mogę jadać je przyrządzone na mój sposób?

Lekarz: Oczywiście. A jakiż to sposób?

Chory: Pozwalam, żeby warzywa najpierw zjadł wół, a potem zjadam wołu.



U lekarza.

W czasie wizyty pacjent skarżąc się na ból w nodze, ściąga jednocześnie na wezwanie lekarza jeden z butów:

— Okropność! — oburza się lekarz. Dlaczego pan nie umył sobie poprzednio nogi? Założę się z panem, że ta noga jest najbrudniejszą nogą na świecie!

— Przegra pan zakład, panie doktorze! — oświadcza ze spokojem pacjent. — Zaraz pokażę panu drugą nogę.

W więzieniu.

Gutman wszedł w kolizję z kodeksem karnym i został skazany na miesiąc więzienia.

W więzieniu zaprowadzono go kąpieli.

— Do djabła! — mówi dozorca — kiedy pan się kąpał ostatnim razem?

— Co to znaczy kąpał? Przecież pierwszy raz siedzę w więzieniu!

Podróż poślubna.

— Wiesz, ta nasza podróż poślubna byłaby poprostu uroczą, gdyby nie...

— Gdyby nie te kościoły, — które mi ciągle przypominają, że nie wzięliśmy ślubu!

Nie jest najporządniejszym pod słońcem.

— Panie Hosenduft, słyszałem, że pański zięć to najporządniesjzy człowiek pod słońcem.

— Być może, ale w tym roku jest wyjątkowo mało słońca.



Przyczyna.

— Więc ty, Bartek, nie masz ochoty do żeniaczki? Nie będziesz się żenił?

— Kawalerem na świat przyszedem, i kawalerem chcę z tego świata zejść!...

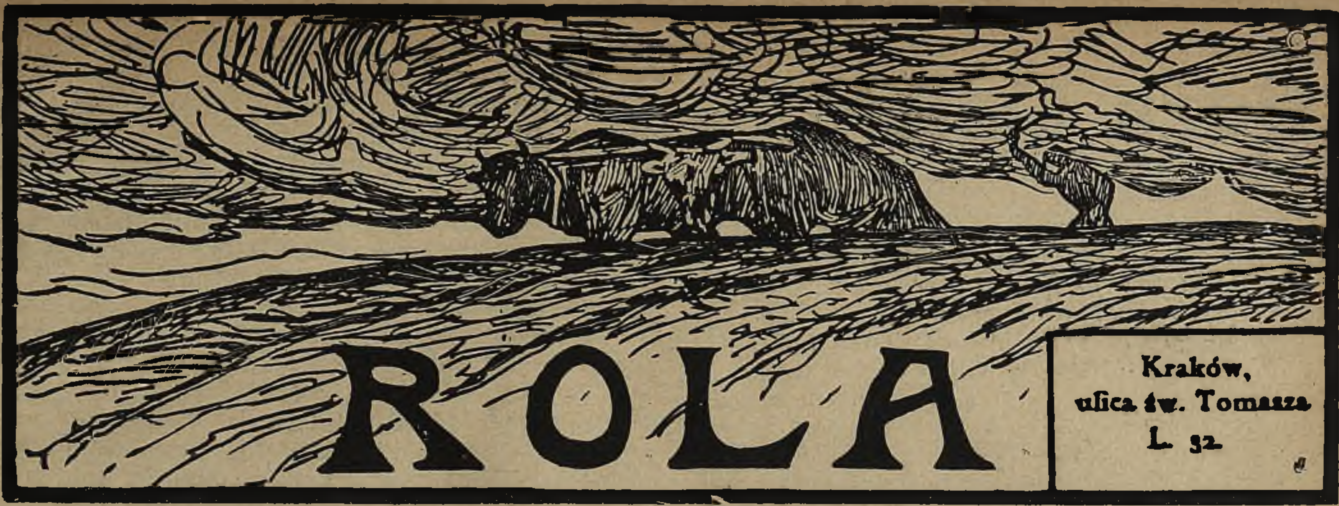
Łakomy Julek.

— Jakto, Juleczku, — mówi ciocia — sam zjadłeś tyle czekolady i nawet nie pomyślałeś o siostrzyczce?

— Owszem ciociu, cały czas myślałem o niej bo się bałem, że nadejdzie.

Za zmianę adresu należy się 40 groszy.

Numer 39. Rok XV. Kraków, dnia 25 września 1932.



ILUSTROWANY BEZPARTYJNY TYGODNIK KU POUCZENIU I ROZRYWCE.

Prenumerata na rok 1932: Rocznie 12 zł, półrocznie 6·50 zł, kwartalnie 3·40 zł; do Czechosłowacji rocznie 50 koron cz. półrocznie 27 kor. cz., kwartalnie 15 kor. cz.; do Francji rocznie 60 franków fr., półrocznie 30 fr., kwartalnie 15 fr. - Do Ameryki rocznie 2 i pół dolara. — Numer pojedynczy we wszystkich agencjach i w Administracji »Roli« 30 groszy
Adres na listy do Redakcji i Administracji »Roli« **Kraków, ulica św. Tomasza 32.**

Konto pocztowe w Polsce: Kraków P. K. O. 406.301. Konto pocztowe w Czechosłowacji: Praga Poczt. Urząd Czekowy 500.868

Niemcy a Polacy.

Pan Mikołaj Daszenko, kupiec w Mizeczu na Wołyniu, otrzymał od niemieckiej firmy J. Barnhardt w Lipsku list, który w tłomaczeniu brzmi następująco: »Otrzymaliśmy list Pana z dnia 10 b. m. i musimy z naciskiem prosić Pana ażeby Pan, jeżeli chce z nami robić interesy, pisał w języku kulturalnym, do których język polski (przypuszczamy bowiem, że Pan pisze do nas po polsku) jeszcze nie należy“. Jest to jeszcze jeden dowód więcej, że Niemcy uważają nas za coś niższego od siebie, za naród, nie posiadający kultury, za naród, który im pod żadnym względem nie dorównuje. — A tymczasem jakże jest w rzeczywistości?

Wiadomo powszechnie, że choć naród polski nie stoi jeszcze na najwyższym szczeblu kultury, że choć jesteśmy w tyle poza innymi narodami Europy, to nie nasza w tem wina, ale tych, którzy tak długo trzymali nas w niewoli i nie dozwalali na nasz rozwój umysłowy. Ale mimo to nawet najciemniejszy chłopek polski, który nie zna nawet literki drukowanej pod każdym względem co do kultury przewyższa brutali niemieckich. Bo nie masz brutalniejszego narodu, jak Niemcy. Dość przypomnieć nie tak znów dawną wojnę światową, kiedy to Niemcy zachowywali się, jak zgraja jakichś dzikich Hunnów, niszcząc wszystko, co stanęło im na drodze, bombardując bezbronne miasta, mordując bez litości spokojnych mieszkańców.

Inna rzecz, że kara Boska spotkała ich za to natychmiast w postaci pogromu, w postaci klęski, jaką ponieśli na polach Francji. A nietylko tam, bo i z Polski, gdzie panoszyli się w czasie wojny, jak udzielni panowie, musieli uciekać, drżąc o swą skórę. Polacy mogli ich wyrżnąć wtenczas do nogi, ale nie uczynili tego, bo posiadali kulturę nie niemiecką, ale kulturę polską, która nie dozwalała na dokonywanie czynów hańbiących. Owszem, Polacy pomagali im, aby mogli bezpiecznie powrócić do swej ojczyzny.

Ta widoczna kara Boża nie nauczyła jednak Niemców niczego. Oto w ostatnich czasach kilku zbirów niemieckich morduje w okrutny sposób w Potempie niewinnego Polaka Piecucha. Sąd, w którym trafił się jakiś sprawiedliwy sędzia niemiecki, wydaje wyrok, skazujący opryszków na karę śmierci. Niemal połowa Niemców staje w ich obronie, żądając ułaskawienia, a prezydent Hindenburg z obawy przed gniewem niemieckiego motłochu ułaskawia zbirów. Oto nowy dowód kultury niemieckiej.

I tak na każdym kroku i tak w odniesieniu do wszystkich narodów! Wszystkich mają za nic, a siebie uważają za jakiś naród wybrany. W ostatnich czasach na niektórych uniwersytetach poustanawiali nawet profesorów, którzy mają dowieść wyższości rasy niemieckiej nad innemi. A już sam fakt ten nie jest świadectwem ich wyższej kultury, ale ich olbrzymiej głupoty.

Polacy natomiast nie trąbią po świecie o swej jakiejś nadzwyczajnej kulturze, ale czynami swemi stwierdzają na każdym kroku, iż posiadają jej znacznie więcej od Niemców.

Jeżeliby powiedzieli o sobie Francuzi lub Anglicy, że posiadają wyższą kulturę od innych narodów europejskich, to zgoda, bo stwierdzają to swoimi czynami na każdym kroku, ale Niemcy? Gdzież im do prawdziwej kultury! Brutalizm, pięść, łamanie wszelkich umów i traktatów, toć ich strawa codzienna, a to nie świadczy wcale o ich wysokiej kulturze, owszem stawia ich w rzędzie narodów, zajmujących szary koniec wśród narodów świata.

Och, gdyby tak Niemcy mieli choć jeden procent pewności, że nowa wojna przyniesie im zwycięstwo, pokazaliby oni swoją kulturę, jaką pokazali w czasie wielkiej wojny w Belgji, Francji i Polsce!

BOLESŁAWITA.

Boża Opieka.

Powieść z XVIII wieku.

(Ciąg dalszy).

Po krótkiej chwili oczekiwania, ukazała się Łowczyna z powrotem i skinęła na Brzeskiego, ażeby szedł za nią. Przeszli tak długi szereg sal i pokojów po staroświecku umeblowanych, ale pustych, bo gabinet przytykający do sypialni ex-wojewodzinej znajdował się na drugim końcu pałacu... Tu zastali ją siedzącą w fotelu, bladą, osłabłą, z różańcem w ręku i książką od nabożeństwa na kolanach... Mała dziewczynka, karliczka, która jej nigdy nie odstępując u nóg z pończoszką siadywała, zobaczywszy obcego zwinęła robotę i odeszła. Łowczyna też ustąpiła... — Brzeski został sam na sam z panią i pokornie trzymał się, pokłoniwszy nisko, u proga... Ona podniosła nań oczy piękne jeszcze, pełne wyrazu słodyczy, i głosem dźwięcznym pozdrowiła.

— Cóż mi to mówi Łowczyna — rzekła powoli — że się waćpan oddalasz od nas, panie Brzeski.

— Tak jest, jaśnie wielmożna pani — począł wzdychając i wzruszony widocznie stary — czas mi już resztę dni Bogu oddać i staraniu o duszę.... Pracowałem na chleb dosyć, na zbawienie za mało... podziękuję Bogu, gdy mi da czas do naprawy...

Ex-wojewodzina bardzo zdumiona popatrzyła nań długo.

— Niech Bóg, co waćpana natchnął, błogosławi! — rzekła — ale któż go ma zastąpić tutaj? Mój mąż nic mi o tem nie donosi?

— Właściwie pan Podskarbiec nie chciał mi jeszcze dać uwolnienia i życzył, bym pozostał, ale ja nie mogę... Służyłbym, gdybym się czuł na siłach, tych braknie... Mam mocne postanowienie oddalić się, i dlatego ośmieliłem się dopraszać dziś posłuchania u Jaśnie Wielmożnej pani...

Tu zatrzymał się nieco, spuścił oczy, dumał i zaczął znowu głosem zmienionym, cedząc słowa, jak gdyby nad każdem zastanowić się musiał i wyważyć każde...

— Pani najłaskawsza... Bóg rozrządza liczbą dni naszych, nikt nie wie, kiedy go do siebie on powoła, gotuję się więc tak, jakbym jutro przed nim miał stanąć. W czasie służby mej mogłem pobłądzić, narazić się, zawinić, proszę pokornie o miłościwe przebaczenie... Odpuść mi, pani, winy moje! To mówiąc uderzył się w piersi, podstąpił bliżej, padł na kolana, twarzą schylił się ku ziemi i ręce do stóp ex-wojewodzinej wyciągnął. Postawa jego, twarz, dźwięk głosu płaczliwy dowodziły, że w tym człowieku, zwykle szyderskim i zimnym, zaszła jakaś dziwna, niepojęta zmiana. Niepodobien był do samego siebie.

Pani ruszyła się z krzesła przejęta tą skruchą, łzy jej stanęły w oczach, uczuła litość, zapomniała uraz, widziała tylko przed sobą upokorzonego grzesznika, błagającego o miłosierdzie w imię Boże.

— Wstań waćpan, wstań — zawołała łzawym głosem — nie mam urazy żadnej i powtarzam pierwsze słowa moje: Niech mu Bóg błogosławi!

— Powtórz mi pani, powtórz, błagam, to drogie słowo, że mi wszystko, wszystko przebaczasz — wołał, składając ręce, Brzeski... Wiem to dobrze, iż Bóg nie odpuści grzechu bez zadośćuczynienia, że kto popełnił winę, obowiązany nietylko ją odpokutować, ale krzywdy wyrządzone nagrodzić. Pani najlepsza, otóż na Chrystusa, którego wizerunek tu oto oglądam (wskazał na krucyfiks), przysięgam pani, że winy, jakich się dopuściłem, nietylko skruchą, ale czynem zmazać się będę starał...

Ex-wojewodzina słuchała coraz bardziej zdumiona... Wyrazy te dziwnie się jakoś odbijały w jej sercu, choć wytłumaczyć ich nie umiała sobie.

— Ale waćpan mi nic nie jesteś winien — rzekła — spełniłeś rozkazy... nie mam żalu...

Brzeski podniósł się z ziemi...

— Niech Bóg pani nagrodzi, niech Chrystus ją pocieszy — zawołał i podniósł ręce w górę...

Tu jakoś mu głosu zabrakło, trwożliwym okiem rzucił dokoła... i dodał ciszej:

— Może mi dano być prorokiem... ale widzę przed oczyma mojemi, iż po dniach wielkiej i długiej żałoby i smutku, nadejdą dla pani dni pociechy i wesela, nie ja to mówię, ale przezemnie głos z góry... Ufaj pani Bogu, który cuda czyni, a któż więcej anielską dobrocią na cud zasłużył nad panią...

Nagle jakby się własnych wyrazów przestraszył, zamilkł, przypadł do kolan ex-wojewodzinej, które uścisnął, pocałował podaną rękę i wyszedł szybko... Biedna kobieta, w której uszach brzmiało to osobliwsze proroctwo... padła na fotel zdumiona, i gdy chciała jeszcze pytać o tłumaczenie Brzeskiego, spostrzegła, że go nie było...

Z wielkim pośpiechem potem udał się Brzeski na ekonomją, zwołał oficjalistów, wezwał pana Bronisza, i natychmiast przy świadkach zdał kasę, klucze i archiwa. Szczęściem wszystko było w porządku tak, że przejęcie nie stanowiło żadnych trudności. Krótkiemi słowy pożegnawszy towarzyszów służby, którzy go nie lubili, ocierając pot z czoła mocno wzruszony, wyszedł na podwórze Brzeski, aby konie kazać podać, gdy go Bronisz dogonił.

Może to było niedelikatnie, ale w czasie posłuchania u ex-wojewodziny, z obawy człowieka, który się wydawał nieżyczliwym, wezwano Bronisza (pani Łowczyna to zrobiła) i kazano mu stać pode drzwiami; Bronisz więc słyszał całą rozmowę jego z panią i równie był poruszony, jak ona. Co więcej, szlachetnego charakteru człowiek, powziął jakąś sympatję ku Brzeskiemu, dla okazanej skruchy.

— Czekaj, panie Brzeski — zawołał w dziedzińcu — dwa słowa! wytłumacz mi, co się stało? Czyście się z Podskarbicem popstrykali? Jak on się bez waćpana obejść potrafi? co to jest? skąd tak nagła rezolucja?

Brzeski się odwrócił, kłaniając.

— Nie zgadujesz pan — rzekł — nic między nami nie zaszło, prócz że ja, przecieżem nie poddany, zażądał uwolnienia. Dość mam z pracy i dosyć z łaski Bożej i państwa, chleba... Chcę odejść.

— Zapewne osiądziesz w Krakowie? — spytał Bronisz.

— Bóg raczy wiedzieć. Mam tam dom, to prawda. ale... nadtobym może był blisko...

Ruszył ramionami.

— Widzisz waćpan — dodał Bronisz, wahając się nieco — tyle lat władałeś interesami, w wielu rzeczach później może potrzebować możemy objaśnienia, gdzie my go szukać będziemy?

Spojrzeli sobie w oczy... Brzeski pobladł nieco, ale wejrzenie Bronisza nic w sobie nie mające groźnego, zdawało się go uspokajać.

— Bądź waćpan pewien — rzekł — że gdy mnie będzie potrzeba, ja się znajdę...

Bronisz zkolei zdawał się zdumiony wyrazami, które coś w sobie miały tajemniczego. Brzeski jeszcze raz mu powtórzył dobitnie.

— Niech pan będzie pewny, że gdy mnie będzie potrzeba tu, ja się znajdę...

To powiedziawszy skłonił się i zostawiając Bronisza na środku podwórza, pośpieszył kulejąc do bryczki, siadł na nią i pojechał...

Nie upłynęła i godzina po jego odjeździe, gdy z Krakowa na zdyszanym koniu nadbiegł umyślny od Podskarbica, z listem do drugiego zaufanego we dworze zausznika i poleceniem najsurowszem, ażeby Brzeskiego, gdy się tylko tu zjawi, przytrzymano i pod strażą osadzono, dając o tem znać, lub nocą wyprawiono zaraz dodając straż silną do Krakowa. Na przypadek gdyby Brzeski już odjechał, polecono ścigać i chwytać. Powodem miało być pochwycenie znacznej sumy, z której Brzeski jakoby nie zdał rachunku. Surowość ta jednak inaczej wyglądała, i wszyscy domyśleli się łatwo, iż to szło więcej o zapewnienie się, iż przypuszczony do wielu tajemnic i robót nieczystych Podskarbica Brzeski, oddaliwszy się ich nie wyda.

Popłoch tedy we dworze stał się wielki... Ponieważ nie było więcej nad godzinę, jak Brzeski wyjechał, łatwem się zdało dognać go, zwłaszcza że wedle wszelkiego podobieństwa drogą ku Krakowu powracać musiał. Posłaniec wszakże stamtąd jadący upewniał, że nigdzie go nie spotkał.

Rozkazy ścigania wydane były wprawdzie przez wiernego sługę Podskarbica, lecz ludzie, co je spełniać mieli, należeli w większej części do Bronisza, a ten zmiarkowawszy, że należałoby teraz oszczędzać Brzeskiego, szepnął im, ażeby się ani bardzo nie spieszyli, ani nadto śledzili pilnie...

Może skutkiem tych kilku słów, choć stajenni rozbiegli się na wszystkie trakty i mieli dostawać języka o zbiegu, nigdzie z nich żaden go nie napytał, nie spotkał i nie widział...

W Krakowie też przeszukano napróżno kawiarnię przy ulicy Wiślnej, z której się i pani Brzeska dniem wprzódy niewiadomo dokąd wyniosła. Kuternoga znikł.... bez wieści, wysłano za nim listy gończe, i po Krakowie rozszeła się wiadomość, iż na znaczną sumę się przeniewierzył, a jak się zdawało, na Węgry uszedł. Naówczas ktokolwiek jak w wodę chciał wpaść, do Węgier ruszał. Trudno tam było odszukać...

20. Po kilku latach.

Kilka lat upłynęło od opisanych wypadków życia głupiego Janka. W Krakowie ani o nim, ani o Brzeskim słychu nie było. Podskarbic pilno dochodził, gdzie się podział dawny jego współpracownik, byłby zgniótł buntującego mu się szlachetkę, gdyby go odszukać zdołał. To mu się wszakże nie udało. — Gniew ostygł nieco z latami, a jednak obawa jakaś o zachowanie się dalsze Brzeskiego trwa ciągle, i od czasu do czasu wysłańcy Podskarbica śledzili po Krakowie, czyliby się zbieg nie pokazał.

Życie tego pana, chociaż podeszlejszy wiek powinien był wpłynąć na stygnięcie namiętności, wcale się nie zmieniło. Epoka to była, w której i zagranicą i w Polsce na zabój się wszyscy bawić i rozrywać i wrażeń szukać potrzebowali. Szukano ich na wszystkich drogach i wszelkiemi sposoby... Delikatniejsze organizacje rozpustowały tracąc czas, zdrowie i majątek na rozrywkach. Podskarbic, straciwszy na karty, kochanki, konie i bankiety znaczną ojcowiznę i nie jeden spadek, ożeniony został za poparciem przyjaciół i rodziny z bogatą młodą wdową, aby świetność imienia miał za co z cudzej utrzymać kieszeni; małżeństwo to jednak, jakeśmy mówili, nie zupełnie się powiodło. Ekswojewodzicowa nie chciała się poznać na przymiotach Podskarbica, chociaż one nawet na dworach zagranicznych wysoce były cenione... Małżonkowie nie mogli zrazu przystać do siebie, a w końcu, po mnogich przykrych przejściach, zupełnie się prawie rozstali. Ekswojewodzicowa siedziała na wsi, ze swym smutkiem i modlitwą. Podskarbic najczęściej przebywał w Krakowie w swym domu przy ulicy Sławkowskiej i prowadził życie w gronie kilku poufałych przyjaciół nie nazbyt przykładne...

Zarządzał on wprawdzie majątkami żony i czerpał obficie z kasy, ale długów robić nie mógł, a po kilku daremnych próbach wysprzedania kluczów, gdy się te nie powiodły, od idei zrujnowania żony musiał rad nie rad ustąpić; dziwił się tylko nie pomału temu, iż ona śmiała chcieć majętność zachować, nie mając dzieci. Co tu oszczędzać, na co mamy trutniom, którzy Bóg zapłać nie powiedzą, zostawiać fortunę... Lepiejby przecie było zjeść i przepić wesoło, ale baba uparta!

W Krakowie cichym, na ustroniu życie Podskarbica upływało tem swobodniej, że go tu nikt kontrolować nie mógł... Robił, co chciał... Miał też tu pozawiązywane stosunki, poułatwiane drogi, i nikt go nie szpiegował, co on tam za drzwiami zamkniętemi w swej kamienicy robił. Gdy czasem o niezwykłej godzinie błyszczało z niej światło i huczały wykrzyki, mieszczanie przechodząc podnosili głowy, żegnali się, ruszali ramionami, ale co komu było do tego...

Co parę lat, a niekiedy i częściej, gdy się Podskarbicowi naprzykrzyło jeść ciągle chleb z jednego pieca, a udało się albo zboża na pniu sprzedać, albo kawał lasu zniszczyć, wyruszał pokazać się, że żył w stolicy... i odnowić dawne stosunki i znajomości; polityka, jakkolwiek ona w życiu panów polskich grała rolę wielką, Podskarbica zajmowała jak najmniej. — Miał za zasadę służyć sile i być jak najlepiej z tymi, co najlepsze dawali obiady. Książę Repnin i rezydent francuski, czy angielski, bodaj turecki, równie mu miłymi byli, jeśli karmili i poili. Miał to najmocniejsze przekonanie, iż Polska się właśnie dla tego utrzyma, iż wszyscy z niej rwą i korzystają. Kury, co złote jaja niosą, nie zabijają — powiadał... Do konfederacji się nie mieszał, bo gdzie tylko szable z pochew wysunąć się mogły, tam bywać nie lubił. Nosił się po francusku i podobniejszy był do starego wychowańca dworu Ludwika XIV i XV, niż do dziecka Rzeczypospolitej. Za Sasów Podskarbic w wielkich był łaskach u Brühla, teraz trzymał zdala z Repninem.

Jednego dnia, ziewnąwszy przy wstaniu nad czekoladą i obliczywszy kasę, w której do trzech tysięcy czerwonych złotych się znajdowało. Podskarbic zawołać kazał swojego marszałka dworu, bo tym tytułem obdarzył jednego ze sług starych, i nakazał mu wybór w drogę do Warszawy. Fantazjom tym pańskim zawsze wszystko stało w pogotowiu dogodzić. Dwadzieścia cztery godziny starczyły na wybór... — Podskarbic wyjechał... Drugiego dnia na nocleg mieli opóźniwszy się zajechać do gospody, i ów marszałek poszedł z niej podróżnych wyrzucać — bo dla panów ustępować musiał, czy kto chciał czy nie — gdy taka w karczmie powstała wrzawa, że drzemiący Podskarbic, porwawszy szpadę stojącą w karecie, sam z nią wyleciał ludziom na ratunek. Wpadłszy wew-

nątrz austerji, spostrzegł marszałka dworu i jednego ze swych sług szamocących się straszliwie ze szlachcicem w bieliźnie tylko, który znać z łóżka wyrzucony, zebrawszy manatki uciekał od napastników. Ci go wrzeszcząc przytrzymywali. Jakież było zdziwienie Podskarbica, gdy zbliżywszy się poznał w tym pochwyconym człowieku... nieszczęśliwego, od tak dawna ściganego Brzeskiego!!!

— A tuś mi, złodzieju! — zawołał — a no! przecieżem cię do rąk dostał... Wiązać go...

(Ciąg dalszy nastąpi).

Djabli bili.

Humoreska.

Działo się dosyć dawno w małej wiosce K., deskami od świata zabitej. W wiosce tej stoi jeszcze po dziś dzień dworek, którego prawie że mało co widać z poza gęstych drzew. W dworku tym służył parobek Grześ Skrzępa. Był to chłop bardzo sprytny, a najlepiej umiał się z końmi obchodzić. Dlatego też wzięto go do dworu za stangreta. Grześ cieszył się z tego bardzo i służył wiernie, a koni pilnował, jak oka w głowie. A że Grześ był człowiekiem sumiennym, więc polubili go też wszyscy, choć niejeden zazdrościł mu łask pańskich.

Ale taka to już jest natura ludzka, że każdy człowiek musi mieć jakąś wadę. Miał ją i Grześ, a była nią nadzwyczajna łatwowierność. Gdyby mu kto nawet największe głupstwo opowiedział, to on to brał za świętą prawdę. Gdy jeszcze był trzeźwy, to było z nim pół biedy, bo po długim namyśle dochodził do przekonania, że to, co brał za prawdę, nią nie było, ale zmyśloną bajeczką, ale gdy sobie podpił, to można było wszystko w niego wmówić.

Po pijanemu zwłaszcza marzył ciągle o tem, jakby się tu spotkać z jakim djabłem i uzyskać od niego radę, w jakiby sposób uzyskać szczęście. Przypominał sobie bowiem wówczas różne bajeczki o djabłach, rozdzielających wory złota, i wierzył w nie, gdyż przyćmiony rozum nie dozwalał mu dopatrzyć się w nich fantazji.

— Hej, hej! — krzyczał wówczas Grześ — żebym ja to wiedział sposób, jak djabła przywołać, tobym dopiero obdarł hycla ze skarbów! O wtenczas byłoby mi lepiej na świecie!

Poważniejsi ludzie, słysząc takie jego gadanie, upominali go, aby nie obrażał Pana Boga takiemi życzeniami, ale Grześ ani rozumnych ostrzeżeń, ani wyśmiewań się z niego nie słuchał.

Pewnego razu poszedł Grześ do stajni, a było to już dość późnym wieczorem, i ułożył się do snu. Za małą chwilę nadeszli dwaj inni parobcy, wielcy figlarze, i niby to nie dojrzawszy Grzesia, poczęli ze sobą rozmawiać.

— Powiedziałby ci ja, Kuba — rzekł Władek — coś bardzo ważnego, tylko się boję, żeby Grzesiek nie dosłyszał, bo to dla niego jest naprawdę wielka nowina, a nie chciałbym, żeby się o niej dowiedział.

Słysząc to Grześ, wcisnął się w sam kąt swojego legowiska i nadstawił uszu jak zając.

— Nie bój się — odparł Kuba — Grześka tu nie ma; widziałem przed chwilą, jak poszedł ku wsi.

— Otóż widzisz, Kubuś, był tu dzisiaj we dworze staruszeczek stareńki, z włosem siwiutkim, jak len, i powiedział, że ktoby dzisiejszej nocy poszedł do lasu na rozstajne drogi koło przysiołka Zapysty, toby dostał djabła w swoją moc tak, żeby musiał wszystko dla tego człowieka robić, coby mu kazał.

— Och! jakże mnie ochota zbiera, żeby tam pójść — westchnął Kuba. — Człowiek biedę klepie, a tak trochębym się poratował.

— Ej, nie mówiłbyś tak, Kubuś! — skarcił go Władek. — Przecież ja dlatego nie chciałem, aby dowiedział się o tem Grześ, boby on tam zaraz poszedł, a to przecież ciężki grzech wdawać się z djabłami.

— No, no, nie bój się, bom przecie katolik, to takiego głupstwa nie zrobię. Ale ciekawym bardzo, co trzeba zrobić, aby djabła w moc swoją dostać?

— Dziadek powiadał, że trzeba wziąć święconej kredy i nią narysować na rozstajnych drogach koło, a potem wejść w to koło i o północy zawołać: „Hop! hop! Djable przychodź!“ I na to wezwanie djabeł zaraz się stawi.

— Ano dzięki Bogu, że o tem Grześ nie wie.... Ale cicho, bo zdaje mi się, że już nadchodzi.

Rzekłszy to, parobcy wyszli ze stajni.

Grzesiowi aż się ciepło robiło, gdy słuchał ich rozmowy. Gdy wyszli, zlazł powoli z posłania, zarzucił płótniankę na siebie, poszukał w kuferku święconej kredy i wyszedł ze stajni. Niby to przypadkiem skierował się ku karczmie i niby mimowoli wszedł do jej wnętrza. Chcąc nabrać odwagi, kropnął sobie półkwaterek wódki, aż mu się ciepło zrobiło. Przeczekał chwilę, a potem wysunął się cicho.

Wprost z karczmy podążył na rozstajne drogi do Zapysty, a choć go strach zbierał, nakreślił święconą kredą koło i usiadł w niem, czekając na nadejście północy. Gdy ją koguty oznajmiły swem pianiem. Grześ zawołał:

— Hop! hop! Djable przychodź!

Jeszcze nie przebrzmiał jego głos, kiedy na skraju lasu dał się słyszeć krzyk okropny, brzęk łańcuchów i wycie nieludzkie. Już chciał uciekać, kiedy tuż przed nim stanęło dwóch szatanów i nuż Grześka okładać batami, że ino świstało w powietrzu.

Grześ stracił pod batami zupełnie odwagę i dalejże w nogi, a djabli za nim, ćwicząc go niemiłosiernie. Grzesiowi nogi odmówiły posłuszeństwa, osunął się na ziemię, a wyciągając rękę ku niebu, począł błagać:

— Boże miłosierny, ratuj mnie, a już nigdy tego grzechu nie popełnię!

I zaledwie wymówił ową prośbę, djabli z wyciem i skowytem zniknęli w lesie.

Obity i pokaleczony powlókł się do stajni, ale zaledwie otworzył drzwi, obstąpili go wszyscy parobcy i nuż go wypytywać, jak to tam było z tymi djabłami i śmiać się z jego przygody.

Grześ domyślił się wówczas wszystkiego. Poznał, że cała rozmowa jego towarzyszy była w tym celu, aby go wykpić i że tymi djabłami byli właśnie ci, którzy ową rozmowę prowadzili.

Od tego czasu Grześ pozbył się swej łatwowierności, a gdy co posłyszał, dobrze się nad tem najpierw zastanowił, nim uwierzył. A gdy kto opowiadał o jakich strachach, djabłach lub zjawach, Grześ mówił mu wówczas:

— Gdybyś bracie miał więcej rozumu, nie wierzyłbyś w żadne strachy, bo te akuratnie takie strachy, jak i moi djabli.

I opowiadał swą przygodę z djabłami i sam nieraz śmiał się z niej do syta. *Stach Jucha.*

Polska jesień.



Każda pora roku ma swoje przyjemności. Ma je wiosna, kiedy świat cały pokrywa się zielonością, kiedy na szarej ziemi wystrzelają bujne listki traw i ziół, kiedy wśród kobierców zieleni zakwitają stubarwne kwiaty, a powietrze przepełnia się świegotem czered ptasich. Na wiosnę wszystko rwie się do nowego życia, kwitnie, rośnie, rozwija się i budzi w sercach ludzkich nadzieje lepszego jutra. Wiosna to czas miłości, rozkoszy, upojeń, to czas, w którym, jak powiedział Sienkiewicz, nawet wiórek do wiórka wzdycha.

Ale ta sama wiosna, siejąc ułudę po świecie, ma w sobie i czarne plamy. W iluż to domach w czasie tej uroczej wiosny brak powszedniego chleba, w iluż chatach głodne dziecięta nie mają co do ust włożyć. Bo wiosna, to czas przednowku, w którym do nowych zbiorów jeszcze tak daleko, a stare zapasy już się wyczerpują, albo nawet zupełnie wyczerpały.

I znów po wiośnie idzie lato, które niesie ludziom nowe przyjemności. Ziemia, skąpana w promieniach słońca, poczyna wydawać z siebie upragnione owoce. Już biedny rolnik może z własnej niwy choćby młodym ziemniaczkiem zaspokoić głód swojej dzieciarni, już dojrzewa jagódka wśród drzew ciemnego boru. Promienie słoneczne ogrzewają rzeki i stawy, w których można zażyć odżywczej kąpieli i popluskać się w wodzie, niby srebrnołuska rybka. W lecie po ciężkiej pracy można odpocząć w cieniu rozłożystych drzew i rozkoszować się czarownym śpiewem ptaszą i harmonijnym brzękiem naszych ukochanych pszczółek, które napełniają w ulach plastry złotopłynnym miodem, tem najskuteczniejszem lekarstwem na wszelkie choroby i najzdrowszym artykułem odżywczym dla starych i młodych.

I mija lato, a nastaje jesień, ta polska jesień, której niejednokrotnie zazdroszczą nam inne narody, które u siebie uroków jesieni nie znają. I choć tam czasem ta nasza jesień bryzgnie deszczem i wciśnie się wichrem poza szaty nasze, choć czasem dokuczy, to przeważnie obdarza nas pogodą, snując po polach białe pajęczyny babiego lata i rozrzucając po ścierniskach ciepłe promienie słoneczne. A rolnik, chwaląc dobroć Boga, idzie w pole, aby rzucać na nowe plony garście ziarna, wiedząc, że po powrocie do domu znajdzie obfite i smaczne pożywienie, nie tak, jak to nieraz wiosną bywało. Bo całoroczny trud oracza Bóg hojnie nagrodził: stodoły napełnione kłosistem zbożem, a na obejściu wyrastają kopce ziemniaków, które zapewnią znośną zimę dla pracowitego rolnika.

Bardzo pięknie uzmysławia naszą polską jesień powyżej zamieszczony obrazek. Widzimy na nim to, czego pragniemy, aby było poddostatkiem w naszej Ojczyźnie. Oto tam w głębi dymią kominy fabryczne, które sprawiają, iż nie potrzebujemy sprowadzać obcych produktów do kraju. A jeszcze dalej przebiega pociąg kolejowy, przewożąc płody wsi polskiej do miasta, a z nich towary wsi potrzebne. Pośrodku rolnik płuży wołkami swą rolę, aby rzucić w nią ziarno, które w roku przyszłym znów obfitym plonem go obdarzy. A na prawo stoją ule, staroświeckie ule, do których pszczółki wonny miód składają. Niestety, niema ich tyle w Polsce ile dawniej bywało. Za lat dawnych każdy rolnik posiadał pasiekę i miodem karmił swą dziatwę i sam miód spożywał. Toteż nie było tyle chorób, co dzisiaj, a ludzie byli silniejsi, gdyż miód jest najdoskonalszem lekarstwem z wszystkich lekarstw, i najpożywniejszem pożywieniem z wszystkich pożywień. A u dołu są porozrzucane różne narzędzia rolnicze, zaś przy nich otwarta księga z napisem: „Ucz się!“, aby zaznaczyć, że może jeszcze więcej, niż innym ludziom, nauka jest potrzebna rolnikowi. Ucz się, a bieda nie będzie miała do ciebie przystępu!

Życie jest krótkie i minie, jak mgnienie oka. — Była wiosna, była młodość, było lato, był wiek dojrzały, przyszła jesień, przyszły lata poważne, ale trzeba pamiętać, że przyjdzie zima, że przyjdzie starość życia naszego. Opuszczą nas siły, nie będziemy mogli pracować. W lecie życia naszego powinniśmy zapracować tyle, aby w jego jesieni zbierać owoce, które nam na zimę - starość naszą wystarczyć powinny. Jeżeli więc masz siły, jeżeli masz zdrowie w lecie życia twojego, spiesz się w twej pracy, abyś jej owoce mógł zbierać w jesieni twojej. Oto hasło, wypisane na dole powyżej zamieszczonego obrazka.

A teraz zwróćmy oczy ku górze! Widzimy tam wśród jasnych promieni Oko Opatrzności Boskiej, jako znak, że ta Opatrzność czuwa nad nami i czuwać będzie, jeżeli my z całem zamiłowaniem pracy naszej oddawać się będziemy, jeżeli ją czy to dla siebie, czy dla innych wykonywać będziemy z całą sumiennością i zamiłowaniem. Wszelkie zbywanie pracy nie może przynieść dla niej błogosławieństwa Bożego i należytych korzyści dla wykonywującego niechętnie pracę.



MACIEK BZDURA GADA:

Powiadają kubity, ze one są upośledzone na ciele i dusy i cięgiem ządają równouprawnienia z chłopami. A to jest nieprawda, bo kto, jak kto, ale baby nie były nigy upośledzone, ino casem uściśnione, jak miały przez kogo. A zasie chłopy to naprawdę są pokrzywdzone stworzenia i imby się nalezało równouprawnienie. I to nie od teraz, ale jesce od starego testamentu, kiedy to zył na świecie Mojzes i nadał zydom prawa. Jak wiadomo, dawniej wszyćkie zydowskie chłopy nosili takie długie włosy, jak baby. Mojżes babskich pełechów nie ruchał, bo się bał, aby go robactwo nie oblazło, a zydom kazał kudły poobcinać i to było pirse upośledzenie chłopów. Zydkowie zacęli wajceć, ze się wszyćkie stworzenia z ich głów pozabijają, więc pozwolił jem po kawałecku pejsów pozostawiać, a za to gdzieindziej i co inksego obciąć, aby nie musiały z tak wysoka na ziemię lecieć.

A i teraz, jak baba chce, to moze mieć na łbie długie kudły, a jak nie chce, to se moze łepetę nawet ogolić i nikt jej za to marnego słowa nie powie. — A niechby se tak chłop zostawił wszyćkie włosy na głowie i splótł se warkoce, toby wszyćka gawiedź, cy wsiowa, cy miastowa, za nim latała, jak za jakim Chińcykiem.

A i co do ubrania. Myślicie, ze chłopy są z babami równouprawnione. Kajztam zaś. Niewiasta wdzieje na siebie jedwabną kosulkę bez rękawów, jedwabne portecki bez nogawicek, a na to muślinową kieckę troskę powyzej pasa od góry, a powyzej kolan od dołu i paraduje se po świecie. Przez takie nieubranie, które się fałsywie ubraniem nazywa, z łatwością przedostaje się rzeźwiący chłód powietrza, ochładza w casie upałów stęsknione ciało, a jak się przy niem zagrzeje i zatęchnie, to znowu z łatwością ulatuje w powietrze i buja se po niem, jak długo mu się podoba. A chłop, cy chce, cy nie chce, musi wdziać na siebie kosulisko z rękawami po same dłonie, z kołmirzem po samą brodę, a i to jesce, aby tam z pod niej co niepotrzebnego na świat nie wyłaziło, musi ją zawiązać skrabacką. Powiadam, ze musi to wszyćko nosić, bo przecie baby kosule syją, to syją wygodne ino la siebie, a nie la chłopów. Ubrawsy się tak, jest dokumentnie zabezpieczony od góry.

A i od dołu nie inacej. Jedne portasy z nogawkami do samej ziemi, drugie portasy z nogawkami do samej ziemi, a w nich ani najmniejsej dziurecki, którąby się mogło powietrze do wnątrza dostać lub z niego wydostać. Latego tez chłopy mają i chłód nie taki elastycny, jak niewiasty i nie pachną tak na styry kilometry, jak niewiasty.

I my nic na to i zdaje mi się, zebyśmy nic nie powiedzieli, gdyby się babom zachciało nawet nago chodzić. Mozeby się to nawet niejednemu i podobało, boby go mniej babskie hadery kostowały. Ale niechby tak który chłop wysedł se na miasto wydekoltowany niemal do pasa i wydelkotowany od dołu poza kolana, jakiby się to wtencas zrobił harmider, jakby to na niego wszyćka płeć piękna i nie bardzo piękna pomstowała i wymyślała mu od zbereźników, ze wszyćko, co ma, tak publicnie na ulicy pokazuje. — A baby choć pokazują, to ich zaden chłop za to nie pomstuje.

No, ale dość juz tego! Juz raz powinni chłopy zmądrzeć i nie dać się babom prześcigiwać! Hola, panowie i władcy rodzaju ludzkiego. Wy silni i dumni, którzy trzęsiecie całym światem, postarajcie się i dla siebie o trochę praw! Łączcie się i organizujcie! Wyrzućcie prec kołmirzyki i wprowadźcie dekolt! Odetnijcie rękawy i paradujcie z gołemi gicalami. Skróćcie portecki poza kolana i zamieńcie ciężkie buciary na delikatne pantofelki! Jak równouprawnienie, to równouprawnienie!

A jeśli baby zacną pyskować i żądać, abyście powrócili do dawnego stroju, to jem przyrzeccie, ale pod warunkiem, ze i one nie będą pokazywać światu swych grubych łydek, nie będą nosić na wirzchu mlekodajnych nacyń, ale wszyćko, co mają, ukryją pod przyzwoitem ubraniem, jak to dotychczas my chłopy ukrywamy. A jeżeli się to stanie, to zadna z kobit nie będzie nigdy uściśniona, ale będzie posiadać rzecywiste równouprawnienie, do którego tak od stworzenia świata wzdychają!

Wieczorem.

Księżyc wyłonił z grona chmur pijaną i wesołą twarz
jak wczora,
Bluznął mleczne światło w gałęzie osiny i przeglądnął się
z lubością w lustrzanym jeziorze.
Świat harmonją błogi tonie w mrokach pogodnego
wieczora,
Koncert żab, wraz z tonem harmonijki pastuszej, odbijają
echem w bliskim borze
Gwiazdy kokieteryjnie mrużą źrenice świetlane,
Drzewa tęsknym poszumem grają pieśń wieczorną łzawą;
Kwiaty sperlone rosą chylą ku sobie główki, jak zaczarowane —
A księżyc wciąż rzuca na odległe lasy łunę krwawą.

H. Latawcówna.

W carskiej służbie.

Z mionionych lat niewoli.

Jasiek Stawarczyk i Franek Górka z jednej pochodzili wsi, w jednym roku się rodzili i razem wzięci zostali do wojska. Obaj pozostawili w wiosce umiłowane dziewczyny, więc też obaj tęsknili za nimi i czekali tej chwili, kiedy będą mogli znów powrócić do chat rodzinnych i połączyć się na wieki z wybrankami serc swoich.

Przeznaczono ich do małej fortecy na samej granicy Europy i Azji. Źle było chłopcom na obczyźnie. Inny kraj, inni ludzie! Jedyną pociechą było dla nich to, że byli razem, że mogli pogwarzyć od serca, dodawać sobie nawzajem otuchy. Toteż każdą chwilę wolną przepędzali razem, rozmawiając to o wiosce rodzinnej, to o złotowłosej Hanusi Frankowej, to o czarnookiej Marysi Jasiowej.

Razu jednego chłopcy, jak zwykle, po ćwiczeniach wojskowych, usiedli w koszarach i milcząc, przypominali sobie dawne chwile, przeżyte wśród kochających ich rodzin, i te uśmiechy dziewczęce, które ich codnia witały rankiem, a tęskne spojrzenia, żegnające ich wieczorem.

Franek pierwszy przerwał milczenie:

— A pamiętasz Jaśku, jak Hanuśka słowa przemówić nie mogła z rozpaczy, kiedy się nam rozstać przypadło?

— A pamiętasz Franku, jak Marychna moja?...

Uśmiechnęli się do siebie i patrzyli na siebie tak, jakby nie oni przy sobie siedzieli, ale ich umiłowane dziewczęta, którym wynurzać mieli swe jasne uczucia. Pochylili się głowami ku sobie, szept stawał się głośniejszym, a brzmienie polskiej mowy sprawiało im jakąś rozkosz niewysłowioną. Rozgadali się tak, że nawet nie spostrzegli wejścia do koszar oficera dyżurnego. A oficer stanął za ich plecami, przysłuchiwał się chwilę i tylko wąs strzyżony jeżył mu się coraz bardziej na drżącej gniewem wardze.

Wreszcie zrobił krok naprzód i stanął tuż przed nimi.

— To wy, łajdaki, w rosyjskich koszarach po polsku rozmawiacie? Ot psubraty, popamiętacie wy, popamiętacie!

Chłopcy struchleli, gdyż nagle przypomnieli sobie surowy przepis, zabraniający polskiej mowy w wojsku rosyjskiem.

A oficer poszedł zaraz z raportem do władzy wyższej, która skazała Jaśka na sześć godzin warty przy prochowni bez zmiany, a Franka na dwa dni aresztu o chlebie i wodzie. Kara Jaśkowa była cięższa, gdyż panował wówczas mróz, dochodzący do trzydziestu stopni, a nocami i większy. Panują tam nieraz takie mrozy, szczególniej nocą, że ptaki na śmierć w locie zamarzają, a wypluta z ust ślina sopłem na ziemię spada. Często żołnierz, pilnujący owej prochowni, po godzinnym pobycie na warcie wracał do koszar niemal nieżywy, a conajmniej z poodmrażanemi uszami, rękami i nogami. Wiedział Janek o tem, i był przygotowany na najgorsze. Wiedział i o tem, że oficer ów pałał ku niemu jakąś szczególną nienawiścią, a więc mu też kary nie zmniejszy, a pobyt przez sześć godzin na takim mrozie równał się śmierci.

Ale cóż było robić! Rozkaz jest rozkazem, więc go wypełnić trzeba. Wdział na siebie długi kożuch i poszedł na wartę. Postanowił ani chwili nie siadać, ale przez ciągły ruch utrzymywać około siebie ciepło. Jakoż na pewien czas okazało się to bardzo dobre. — Ale im dłużej chodził, tembardziej siły jego poczęły słabnąć, a na dobitek złego począł wiać wiatr, który przeciskał się poza ubranie i szczypał ciało biedaka niemiłosiernie.

Jasiek napróżno rozcierał ręce, napróżno zakrywał głowę kożuchem. Wiaterek przedostawał się poza kożuch, włazil pod koszulę, dostawał się do gołego ciała, szczypał aż do omartwienia członków.



Ukląkł przy krzyżu i błagał Chrystusa...

Chłopcu łzy w oczach stanęły.

— Za co wy mnie tak męczycie, za co? Bogdaj was Bóg ciężko pokarał, bogdaj was pokarał!

Po kilku godzinach ciągłego chodzenia poczęły Jaśkowi nogi odmawiać posłuszeństwa.

— Usiędę na chwilę, odpocznę — pomyślał.

Siadł koło budki, wtulił głowę w kudły kożucha i począł marzyć. W myślach swych uzmysłowił sobie wieś rodzinną, ojca staruszka i umiłowaną dziewczynę i to wszystko, co go niegdyś cieszyło, co radością duszę napełniało. Nie czuł ani wiatru, ani mrozu, ani zimna, a tylko jakąś błogość niewysłowioną, jakąś szczęśliwość niewypowiedzianą.

Nagle uczuł jakiś ból w piersiach, otworzył szybko oczy i ku swemu przerażeniu zobaczył oficera, stojącego nad nim. Chciał się zerwać, chciał coś przemówić na swe usprawiedliwienie, ale nogi odmówiły mu posłuszeństwa, usta nie zdołały ni słowa wymówić.

— To ty tak czuwasz, psi synu, to ty tak czuwasz Polaczysko przebrzydłe — wrzeszczał oficer, a słowom jego towarzyszyły dalsze kopnięcia to w piersi, to w głowę biednego żołnierzyka.

Krzyczał, pienił się, tratował nogami, wreszcie zmęczył się i zachrypł.

— Podnieść mi tę swołocz — zawołał do towarzyszących mu żołnierzy.

A gdy żołnierze podnieśli Janka, uderzył go jeszcze dwa razy w twarz i polecił odprowadzić do szpitala. Ale Janek w drodze ducha wyzionął.

Stary ojciec Janka dopiero w kilka miesięcy dowiedział się o tragicznej śmierci syna. Zamówił w miejscowym kościółku Mszę świętą za jego duszę, a kiedy powracał po skończonem nabożeństwie do domu, ukląkł jeszcze przy przydrożnym krzyżu i błagał Chrystusa o pomstę dla katów jego dziecka.

I przyszła ta pomsta: z caratu nie zostało śladu, dawni oprawcy naszych braci rozprószyli się po świecie na nędzę i tułaczkę, lub poszli na stokroć gorszą służbę do bolszewików, a Polska powstała zmartwych, aby jaśnieć swą potęgą i chwałą wśród narodów świata.

Antoni St. Bassara.

EUGENJUSZ CHAVETTE.

Tajemnicza zbrodnia.

ROMANS KRYMINALNY.

(Ciąg dalszy).

Potem, nie opóźniając się już w pokoju zbrodni, podniósł obicie i przez framugę dostał się do swego mieszkania.

Podczas tej przeprawy Cezar, wielce zdziwiony, dodał do siebie:

— To rzecz szczególna, zdaje mi się, że ten głos, który odpowiadał Barantelowi, wcale nie był mi obcym.

Nie miał jednak czasu na badania dalsze, zaledwie bowiem wszedł do siebie, usłyszał głośne dzwonienie z sieni.

Pobiegł otworzyć i zobaczył Cambarta.

Giełdzista wyglądał na dobrze podchmielonego; w ręku trzymał urwany sznur od dzwonka.

— Cóż to! jeszcze spałeś? — zawołał, wybuchając głośnym śmiechem.

— O! ja już wstałem przeszło od dwóch godzin...

— Wstałeś!... Więc się kładłeś spać? zmokła kuro! ja właśnie chciałem, ażebyś się do tego przyznał... bo widzisz, choć mówią, że się starzeję, ja się wcale nie kładłem, a przecież jestem rzeźki i wyglądam jak róża.

Desormeaux mógł był odpowiedzieć mu, że przypomina raczej piwonję, niż różę, ale rzekł tylko:

— Cóż cię sprowadza?

— No! posłuchaj — odparł hulaka.

ROZDZIAŁ VI.

Cambart, po wyjściu od Krapiszetki, około godziny siódmej zrana, zadzwonił u furtki swego domu.

Otworzyła mu tęga, czerwona na twarzy dziewczyna, Małgorzata, kucharka.

— Jest Lefleur? — zapytał.

— A gdzież ma być, proszę pana, on ciągle teraz siedzi w domu. A czy pan wie, co on teraz robi? Bawi się w ogrodnika, sadzi rzodkiewki.

— Dobrze, pójdę do niego — odrzekł giełdzista.

Przeszedłszy podwórze, Cambart wszedł do ogrodu. Tu hulaka spostrzegł, że jego lokaj, jak mu zapowiedziała kucharka, zajęty był ogrodnictwem.

W tejże chwili właśnie odpoczywał i wsparty na łopacie, z głową opuszczoną patrzył na ziemię, którą tylko co przestał kopać.

Cambart przeszedł prędko przez łączkę, której trawa głuszyła jego kroki i zbliżył się do stojącego tyłem służącego, tak, że ten nie usłyszał jego nadejścia.

— Cóż ty tu robisz, mój dzielny Lefleurze? — zagadnął go znienacka.

Na to niespodziewane pytanie, Stanisław obrócił się, przerażony widocznie, bo Cambart ujrzał go bardzo bladego

Gdy lokaj poznał swego pana, przestrach go zapewne opuścił natychmiast, odezwał się bowiem na wpół z uśmiechem:

— Anim się pana spodziewał, zaszedł mnie pan tak nagle, że najodważniejszy mógłby się był przestraszyć.

Poczem wracając się do zadanego mu pytania, dodał:

— Zajmuję się ogrodnictwem, jak pan widzi.... trzeba przecież coś robić dla zabicia czasu.

Ja ci też nie czynię bynajmniej o to wymówek, tylko chcę zrobić ci uwagę, żeś wybrał to miejsce. Małgorzata mówiła mi, że sadzisz rzodkiewkę, a tu ani jedna nie wzejdzie w takim cieniu.

— Ponieważ nic nie może rosnąć w tem miejscu, zbyt zacienionem, chcę zużytkować ten cień. Tam, pod parkanem, jest duża kupa ziemi... otóż ja ją tutaj przeniosę... urządzę ławeczkę z ziemi... obłożę darniną, trawa się opuści... I będzie pyszna kanapka darniowa do odpoczynku podczas upałów.

— Tak, wyborna myśl — przytakiwał szczerze giełdzista.

— Więc pan mi pozwala na tę rozrywkę? — zapytał lokaj, a spojrzenie jego niespokojne zatrzymało się na swym panu.

— O! nawet ci zgóry dziękuję za tę pracę.

Na tę odpowiedź, w oku Stanisława zabłysła radość, czego nie zauważył hulaka, ponieważ zwrócił głowę ku domu, gdzie na ganku ukazała się kucharka.

— Hej! Małgorzato! — zawołał.

A gdy dziewczyna biegła na jego wołanie, mówił do Stanisława:

— Zanim mi ona przygotuje śniadanie, ty, Lefleurze, idź mi po dwie butelki do piwnicy, po dwie butelki mego starego Chateau-Margaux. Potem dla dania rozkazów, podszedł do Małgorzaty, przyglądając się służącemu, który odszedł o kilkanaście kroków, odetchnął z pewną ulgą i wyszeptał:

— Uf! nareszcie mogę mieć i tę kanapkę darniową.

W dziesięć minut później, Cambart siedział przy śniadaniu, które dlań zastawiła Małgorzata.

Usługiwał mu Stanisław.

Giełdzista wyciągnął się w fotelu i głosem już trochę bełkotliwym zagadnął:

— Teraz, panie Lefleur, mamy z sobą pomówić poważnie.

I dodał z obcesem:

— A najprzód powiedz, mój chłopcze, jak ci się wydaje, czy ja się starzeję?

— Tak niedawno jestem w służbie u pana, że niepodobna mi nic wnosić... musiałby mi pan najprzód powiedzieć, jakim pan był dawniej, bo z tego, co widziałem, jakim pan jest teraz, muszę oświad-

czyć, że drugiego takiego mężczyzny jeszcze nie spotkałem.

— Otóż pewna warjatka taką mi obelgę rzuciła w twarz. A ja chcę najwidoczniej, w sposób najbardziej przekonywujący dowieść, że to nieprawda. — Dlatego właśnie przyszedłem tutaj dzisiaj zrana, ażeby się z tobą porozumieć, Lefleurze, ja chcę wydać w tym domu bal... muszę... ale chciałbym, ażeby to było coś... coś...

— Dobrze, ale na to potrzeba będzie dużo pieniędzy...

— O pieniądze się nie troszcz.

— O! skoro pan się nie krępuje, może mi się uda zrobić prawdziwą niespodziankę na tę zabawę.

— Tak, a kiedy będziesz miał tę niespodziankę gotową?

— O! pan mnie złapał za słowo, spodziewałem się, że mi pan zostawi dość czasu na przygotowanie, a kiedy ma być bal?

— Skoro tylko mieć będziesz niespodziankę.

— Od dziś będę łamał głowę, ażeby panu dogodzić.

— Dobrze! jutro przyjdę się dowiedzieć, co też wymyśliłeś.

I Cambart podniósł się ociężale od stołu, ani się spostrzegłszy, że dwie wypite butelki, do reszty nadwerężyły mu przytomność, już nadszarpaną u Krapiszetki.

— Dobry numer! — zaśmiał się Stanisław, patrząc, jak pan jego zmierza do lasku bulońskiego, gdzie nań czekał powóz.

W lasku bulońskim, dla orzeźwienia się, zapuścił się w cieniste aleje, bardziej od głównej drogi odległe.

Nagle nieopodal od siebie usłyszał Cambart czyjeś głosy.

Wkrótce minęło go o kilka kroków czterech ludzi. Dwóch z nich odzianych było w mundury strażników leśnych, jeden był czarno ubrany, a w czwartym poznał giełdzista swego ogrodnika Wawrzyńca.

Mimowoli Cambart usłyszał rozmowę.

— Tak, powiadam wam — mówił Wawrzyniec — poraz pierwszy mi się to w życiu przytrafiło...

— O! dobra niespodzianka — zawołał jeden z towarzyszów.

— Tak, idę sobie, aż tu patrzę... jeden talar, drugi, trzeci....

— Ho! cały skarb...

— Rzeczywiście i mnie to mocno zaintrygowało... a właśnie było to dla mnie po drodze, w pobliżu domku pewnego mieszczucha w Passy, gdzie doglądam ogrodu...

Głos ogrodnika, ginąc w oddaleniu, nie pozwolił więcej dosłyszeć Cambartowi, który poszedł dalej, mówiąc:

— Ho! ho! zdaje się, że Wawrzyniec znalazł jakiś skarb.

Poczem z westchnieniem dodał:

— O! i jabym chciał znaleźć... bardzoby mi się przydał.

Te słowa wywołały natychmiast głośny śmiech giełdzisty:

— Jakiż ja głupi! — rzekł. — Alboż ja nie znalazłem prawdziwego skarbu, tego wielkiego skarbu, co się nazywa Leon Barantel!... z nim jeszcze wypłynę... Dwa tygodnie mam jeszcze do likwidacji, a w dwa tygodnie taki zuch, jak ja, dużo może zrobić dla siebie.

I, ucieszony tymi widokami, zatarł sobie ręce:

— Uratowany jesteś, Cambartku! uratowany! arcyuratowany!

Lecz nagle jedna myśl osłabiła jego zadowolenie.

— Byleby moja córka nie chciała zwinąć chorągiewki.

Niebezpieczeństwo to wydało mu się jednak łatwem do zażegnania, gdyż zawołał:

— Pocóż mam się bać!... Gabrjela jest rozsądna, zwłaszcza gdy jej powiem, jak się rzeczy mają.

W pięć minut później hulaka, wyciągnięty na poduszkach powozu, który odnalazł, udał się na ulicę Vivienne.

Odurzenie pijackie nadało mu niejaką wesołość.

Śmiał się, wyśpiewywał, widząc się bliskim wykonania zamierzonego planu.

W kapeluszu na głowie wszedł do buduaru Gabrjeli.

Nie pomyślawszy nawet o ucałowaniu dziecka, rzucił się na kanapę, i z głupkowatym uśmiechem człowieka pijanego, wyjąkał:

— Oto jestem... Przychodzę, aby cię zapytać, moja miła, kiedy chcesz poślubić Desormeauxa... Powiedz prędko, moja turkaweczko, bo nie mam wiele czasu.

Panna Cambart, która przy wejściu ojca, siedziała nad krosienkami, zwolna podniosła głowę.

Chłodno przyjrzała się temu, który ukazywał się przed nią w takim stanie, i zupełnie pozostała obojętną.

— Czekam, aż ci się spodoba odpowiedzieć, moja panno — podchwycił Cambart, sadowiąc się wygodniej na kanapie.

Panna Cambart z oczyma utkwionemi w kanwie, wyrzekła:

— Ojciec się myli.

— Co do czego?

— Bo mówisz o panu Desormeaux, kiedy być może mowa tylko o panu Barantelu... Tego ostatniego przecież zamierzam zaślubić; kiedy mi przedstawiłeś tych dwóch panów, wybór mnie pozostawiłeś... i ja już wybrałam.

— Tak.

— Ale Cezar jest ładnym chłopcem?

— Zresztą ojcu chyba tylko chodzi o termin. Oznaczymy więc ślub za dwa miesiące.... Co do męża, ponieważ ja wybieram go dla siebie, zatem to już pozostaje do mego uznania. Wybieram więc pana Leona Barantela.

— O! co nie, to nie — rzekł ironicznie Cambart wstając z kanapy.

— A to dlaczego, ojcze?

— Bo jest pewna przeszkoda, bardzo poważna przeszkoda — ciągnął dalej ojciec tym samym tonem drwiącym, zbliżając się do córki, która nie przestawała pracować.

— Może raczy ojciec powiedzieć mi przynajmniej, jaka to przeszkoda? — spytała Gabrjela, a zimna krew nie opuszczała jej wcale.

— Jakto, nie zgadujesz?

— Wcale a wcale.

Wtedy Cambart, włożywszy ręce w kieszenie, dodał głosem energicznym:

— Bo... bo ojciec tego nie chce... bo ojciec nie widzi w tem korzyści.

— Niech ojciec mi więc raczy powiedzieć, dlaczego się sprzeciwia mojemu małżeństwu z panem Barantelem?

(Ciąg dalszy nastąpi).

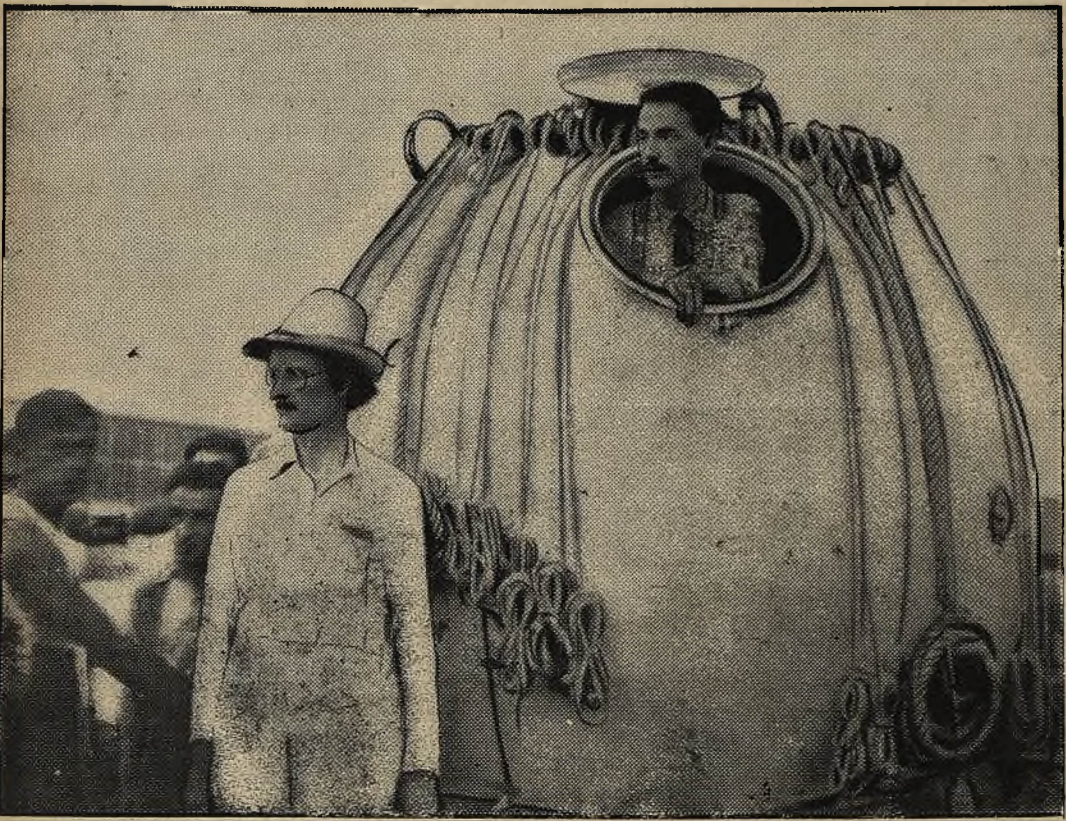
Lot w powietrzne szlaki.

Zwiedzili ludzie już niemal każdy zakątek ziemi, dotarli w najodleglejsze strony oceanów, ale dotychczas nie zbadali jeszcze zupełnie przestworzy powietrznych i głębi ziemi. Ale w badaniach swoich i w tym kierunku nie ustają. Coraz śmielej i coraz wyżej wznoszą się w powietrze i wydzierają mu tajemnice, dotychczas ukryte dla człowieka.



Do niedawna sądzono, że warstwa powietrza, otaczająca kulę ziemską, ma grubości zaledwie ośm kilometrów, a już wyżej jest próżnia, niczem nie zapełniona. Obecnie przekonano się, że tak nie jest. — Wprawdzie, im wyżej, tem powietrze jest rzadsze, ale gdzie ono posiada granice swego istnienia, dotychczas nie stwierdzono.

W ostatnich czasach przedsięwziął prof. Piccard dwie podróże balonem, specjalnie do tego celu zbudowanym, aby się przekonać, jak tam jest w górze. Te jego wzloty naukowe nazywają się wzlotami do stratosfery, to jest do tej wysokości, gdzie już oziębienie ustaje, a panuje stale jednakowa temperatura, gdzie niema żadnych wiatrów, ani zmian atmosferycznych. Granicę pomiędzy dolną strefą, gdzie takie zmiany istnieją, a którą to sferę nauka nazywa troposferą, a stratosferą uczeni określają w krajach północnych na 8 do 10 kilometrów, zaś w krajach ciepłych na 17 do 18 kilometrów. Jak to już zanaczyliśmy, troposfera, w której rozgrywa się całe życie ziemi, jest niespokojna, posiada nader zmienne prądy powietrzne, zarówno w kierunku pionowym, jak i poziomym, jest obszarem mgły, chmur i deszczów. W stratosferze panują prądy stale wyłącznie horyzontalne i jest ona wolna od wszystkich zjawisk, połączonych ze zgęszczeniem pary wodnej, którą troposfera jest przepełniona.



Dalsze badania wykazały, że te różnice są wynikiem odmiennego działania promieni słonecznych, które działają na stratosferę krótkiemi falami, gdy tymczasem troposfera podlega długofalistym promieniom, odbitym od powierzchni ziemi. Wskutek tego odmiennego działania promieni musi wytworzyć się strefa równowagi temperatury, której wysokość łatwo stosunkowo obliczyć

Profesorowi Piccardowi szło przedewszystkiem o przekonanie się, czyby było możliwe odbywanie podróży w tej stratosferze i z jakim skutkiem. Otóż doszedł on do przekonania, że podróże takie są możliwe, a z powodu zupełnej ciszy powietrznej, byłyby one nadzwyczaj szybkie tak, że samolot

mógłby tam przelecieć za godzinę nawet 1.000 kilometrów. Ponieważ jednak w górze, jak to stwierdził prof. Piccard, mróz dochodzi do 55 stopni, łodzie samolotów musiałyby być ta kszczelnie urządzone, aby zatrzymywały w sobie dostateczne ciepło, a zimna z zewnątrz do środka nie dopuszczały. Można przypuszczać, że uczeni nie spoczną, póki podobnego aparatu nie wymyślą, a gdy wymyślą i udoskonalą, to będzie można odbyć podróż z Europy do Ameryki w przeciągu kilku godzin.

Profesor Piccard odbył dwie takie podróże do stratosfery i obydwie zakończyły się dla niego i dla nauki szczęśliwie. Wprawdzie po pierwszej podróży balon jego opadł w górach i zachodziła obawa, że profesor Piccard zginął, ale na szczęście tak się nie stało i dzielny uczony w sierpniu b. r. odbył drugą taką podróż. Po trzech godzinach od chwili wzlotu wzniósł się na wysokość 1 6i pół kilometra. Na tej wysokości było mu bardzo nieswojo. Niebo nie ma tam już koloru błękitnego, ale ciemny, a mróz panował pięćdziesięciostopniowy. Z takiej wysokości ziemia była ledwie widoczna. Powietrze było tam do tego stopnia nieruchome, że nad jeziorem Garda balon stał prawie w miejscu przez dwie godziny.

Obok podajemy dwa obrazki, z których pierwszy przedstawia dno łodzi balonowej, obładowane workami piasku, przy pomocy którego mógł prof. Piccard regulować szybkość wznoszenia się balonu ku górze, na drugim zaś widzimy część owego balonu, a w nim prof. Piccarda, który przez specjalny otwór żegna się przed wzniesieniem w powietrze z tysiącami publiczności, przybyłej, aby się przypatrzyć jego wzlotowi.

Poradnik gospodarczy.

Maglowanie bielizny.

Jeżeli chcemy, żeby bielizna po wypraniu była gładka, miękka, lśniąca, powinna być dobrze zmaglowana. Szczególnie dla grubszej bielizny lnianej ma to duże znaczenie.

Gospodynie wiejskie wykonują te czynności z pomocą bardzo pierwotnego przyrządu. Na drewniany wałek zawija się po jednej sztuce bielizny i wałkuje na stole deską karbowaną, zwaną maglownicą. Praca to żmudna i bardzo niedoskonała. Dobrze wykonać ją można jedynie z pomocą maszyny, w której pod silną prasą można dużą ilość bielizny małym wysiłkiem i w krótkim czasie tak zmaglować, że prasowanie będzie tylko wykończeniem i złożeniem dokładnem każdej sztuki.

Dawniej używano magli dużych, bardzo ciężkich, w których wielkie kamienie, umieszczone w ruchomej skrzyni, służyły za prasę, pod którą umieszczano wałki z bielizną. Bielizna wychodziła bardzo ładna, ale robota była ciężka i niezdrowa dla kobiety. Obecnie są wyrabiane magle do użytku domowego, niezmiernie łatwe w użyciu, zabierające mało miejsca. Dwa wałki drewniane w ramie żelaznej ze śrubą, poruszane korbą. Są one podobne do dużych wyżymaczek. Wiele gospodyń już je nabyło i są z nich bardzo zadowolone. Uczyniły to szczególniej stowarzyszenia kobiece, których członkinie na tych maglownicach maglują swą bieliznę bezpłatnie, zaś niećzłonkinie za maglowanie płacą, a pieniądze te idą na spłatę owych maglownic.

Dziwić się należy, że dotąd po wsiach, a nawet w małych miasteczkach nie znaleźli się ludzie, którzyby sobie takie przedsiębiorstwo urządzili. Wszak w mieście dużem daje ono bardzo znaczne dochody, przy małym stosunkowo nakładzie.

A teraz pytanie, jak przygotować bieliznę do maglowania? Dobry wynik maglowania zależy także od dobrego złożenia bielizny i od tego, żeby bielizna była w miarę wilgotna. Jeżeli bielizna jest zbyt sucha, należy ją skropić wodą. Wyciągnąć, potem bardzo dokładnie wyrównać załamki brzegów i składać na prawą stronę po kilka sztuk jednego gatunku bielizny razem.

Sztuki duże, jak prześcieradła, obrusy, poszwy itp., wyciągać muszą dwie osoby, prosto i w skos, żeby składać brzeg z brzegiem wzdłuż, potem na trzy części w poprzek. Wszystkie sztuki bielizny z guzikami należy składać tak, żeby one w środku były ukryte.

Jeżeli jest magiel z wałkami, po nawinięciu bielizny trzeba zawinąć kawałkiem szarego płótna (maglownikiem), żeby się bielizna nie przyprószyła i nie przecierała.

Po kilkakrotnem przemaglowaniu obejrzeć, czy dokładnie to jest zrobione i odwrócić.

Przy maglu bez wałków przepuszcza się bieliznę kilkakrotnie w jedną i drugą stronę i przekłada środkowe sztuki na wierzch.

Po wymaglowaniu powinno się bieliznę zaraz prasować, gdyż wtedy najładniej to można wykonać. Jeżeli bielizna pozostanie długo bez prasowania, to w lecie wyschnie i prasować ją trudniej, zaś w zimie nabierze niemiłego, stęchłego zapachu.

Do magli powinno się bieliznę układać w koszu, specjalnie na ten cel przeznaczonym. Kosz taki jest lekki, przewiewny, więc najlepiej się do tego celu nadaje. Kosze takie wyrabiają niemal we wszystkich okolicach naszego kraju, a każda dobra gospodyni powinna mieć go w swem posiadaniu.

Obchodzenie się z ziarnkami owocowemi w ziemi.

Zdarza się często, że zasadzone ziarnka owocowe wschodzą w małej bardzo ilości; przyczyną tego niepowodzenia jest nieumiejętne obchodzenie się w ziemi. Niewłaściwem jest bardzo pozostawianie ziarnek w stanie zeschłym w ciągu zimy podczas użytkowania owoców, a następnie sadzenie ich na wiosnę bez żadnych poprzednich starań. Ziarnko wyjęte z owocu powino być zaraz zagrzebane w piasku lub w pulchnej ziemi, a nadto wymagają niektóre ziarna owocowe poprzedniego skiełkowania. W tym celu należy wziąć piasku lub ziemi, a ubiwszy ją mocno w wazonku lub skrzynce, mającej otwory u spodu, rozsypać po niej ziarnka. Następnie daje się druga warstwa piasku lub ziemi, później znów ziarnka i tak dalej przesypuje się trzy do cztery razy w jednym wazonku. Zwilżywszy nieco ziemię stawia się wazonek w miejscu mającem parę stopni ciepła i pilnuje, by przez całą zimę zachować ten sam stopień wilgoci. Na wiosnę należy wcześnie przygotować grządkę i ziarnka skiełkowane wysadzić z wazonków. Ziarnka orzechowe i brzoskwiniowe należy sadzić ostrożnie i pojedynczo, obracając kończastą stroną ku dołowi.

KRONIKA.

Aresztowanie sekretarza Rady szkolnej. W Tarnowie aresztowano sekretarza Rady szkolnej powiatowej, Jana Augustyna za sprzeniewierzenie około 12.000 zł. na szkodę skarbu państwa. Mianowicie Augustyn od dłuższego czasu żył nad stan, a niedobory swoje pokrywał z pieniędzy skarbowych, przeznaczonych na pensje dla katechetów. Wreszcie kontrola wykazała nadużycia, z powodu których Augustyn został aresztowany i osadzony w więzieniu.

Tajemnicze zniknięcie kobiety. Jeszcze 12 sierpnia wyjechała ze Lwowa do Kalwarji Pacławskiej w powiecie dobromilskim na odpust Barbara Kusiowa w towarzystwie Józefa Pasiecznego oraz kilku kobiet. W czasie podróży powrotnej powstała kłótnia między Kusiową a Pasiecznym, w czasie tej kłótni Kusiowa zeskoczyła z wozu i skryła się w zaroślach tak zwanej Oliwnej Góry. Pasieczny pobiegł za nią i oboje znikli z oczu towarzyszek podróży. Po trzygodzinnem daremnem oczekiwaniu na ich powrót z lasu kobiety pojechały dalej i spotkały niebawem Pasiecznego, siedzącego przy drodze w odległości kilku kilometrów od poprzedniego miejsca. Na pytanie, gdzie się znajduje Kusiowa, Pasieczny nie dał jasnej odpowiedzi. Siostra Kusiowej czekała na jej powrót aż dotąd, a nie doczekawszy się go, zawiadomiła o wszystkiem obecnie policję lwowską. Ta wszczęła natychmiast dochodzenia, aresztując Pasiecznego, jako podejrzanego o zamordowanie Kusiowej.

Samobójstwo niebezpiecznego bandyty. W powiecie błońskim od jakiegoś czasu grasował groźny bandyta, budząc lęk wśród tamtejszej ludności. Przed tygodniem opryszek ten dokonał napadu na mieszkańca wsi Wiskitki, Józefa Białousa, lecz został spłoszony przez patrol policyjny. Policjanci puścili się za nim w pogoń. Rozpoczęła się wzajemna strzelanina, lecz opryszek zdołał ujść i zniknąć w cieniach nocy. Przypuszczając jednak widocznie, że policja go obsaczyła i że nie ujdzie jej rąk, strzelił sobie z rewolweru w głowę, ponosząc śmierć na miejscu. Oczywiście policja o tem nie wiedziała, dopiero po tygodniu znaleziono zwłoki samobójcy i rozpoznano w nich owego opryszka. Nazwisko bandyty pozostało jednak nieznane.

Zasekwestrowana trumna. Zakład pogrzebowy Ładeckiego w Radomiu zalegał z podatkiem w kwocie 140 złotych, wobec czego przybył tam sekwestrator, celem dokonania zajęcia dla zabezpieczenia owego podatku. Sekwestrator, nie namyślając się wiele, zasekwestrował karawan wraz z znajdującą się w nim trumną. Pan Ładecki prosił wprawdzie, aby mu rzeczy tych nie zabierano, bo może zajść dla niego szczęśliwy wypadek, że tam ktoś umrze i trumnę ową zakupi, więc będzie mógł należytość uiścić, ale sekwestrator był nieczuły, kazał zaprządz konie i powiózł karawan wraz z trumną przed urząd skarbowy. Tu jednak nie wiedziano, co z tym fantem zrobić, zwłaszcza że się zbiegli ludzie i poczęli robić złośliwe uwagi. Wobec tego kazano odwieść karawan i trumnę panu Ładeckiemu, a zasekwestrowano mu radjo.

Pożar Kolna. W ubiegłym tygodniu spaliła się połowa miasta Kolna w powiecie łomżyńskim. Z niewiadomej przyczyny wybuchł ogień, który z błyskawiczną szybkością obejmował dom za domem. Akcja ratunkowa, w której wzięły udział okoliczne straże pożarne, była bardzo utrudniona z powodu silnej wichury i braku wody. Oprócz przeszło 100 domów prywatnych spłonął magistrat i gmach byłego starostwa. Bez dachu nad głową zostało przeszło 2.000 ludzi. Straty materjalne są olbrzymie.

Manifestacyjny pogrzeb śp. por. Żwirki i inż. Wigury. We czwartek 15 bm. odbył się w Warszawie pogrzeb polskich lotników, por. Żwirki i inż. Wigury, którzy zginęli śmiercią tragiczną w niedzielę 11 bm. na polach Cierlicka na Śląsku Cieszyńskim wskutek huraganu, jaki tam panował, i który rostrzaskał samolot bohaterskich lotników. Żałobna podróż zwłok naszych bohaterów była jedną manifestacją żalu ludności okolic, przez które pociąg przejeżdżał. Na wszystkich stacjach od Cieszyna do Warszawy oczekiwały tłumy ludności, aby okazać swój żal z powodu tak przedwczesnego zgonu młodych bohaterów. We czwartek w kościele św. Krzyża w Warszawie, odbyło się nabożeństwo za dusze tragicznie zmarłych. Na środku kościoła ustawiono dwa katafalki, na których wśród setek wieńców i morza kwiecia spoczęły dwie trumny. Po nabożeństwie ruszył kondukt żałobny, prowadzony przez księdza biskupa Galla w asyście licznego duchowieństwa na cmentarz, a za trumną w głębokim skupieniu postępowało przeszło 300 tysięcy ludności. Był to najwspanialszy pogrzeb może nietylko w Warszawie, ale w całej Polsce.

Zazdrosny kochanek. U Dawida Aryta w Warszawie zamieszkała przed kilku dniami Lucja Kielf, przybyła z Łodzi. Jako bezrobotna, miała dość czasu, więc też szybko zawarła kilka znajomości. Między innymi poznała się z niejakim Zygmuntem Zabłockim, który się w niej zakochał. Ale żydóweczce widocznie jeden amant był zamało, więc też przyjmowała u siebie i innych kawalerów. Kiedy Zabłocki przyszedł niespodzianie do Kielfówny, zastał u niej dwóch mężczyzn: 24 letniego Gimpla Pulwernisa i 25 letniego Wolfa Bloksylbera, którzy prowadzili z nią rozmowę w bardzo poufnym tonie. Zabłocki uważał obu za takich, którzy sprowadzają dziewczęta z drogi cnoty, wobec czego wyjął rewolwer i rozpoczął strzelaninę, raniąc obydwóch gości. Ranny Pulwernis uciekł do piwnicy, a Bloksylber na ulicę. Zabłocki, spostrzegłszy nadbiegającego policjanta, zbiegł, uprzedzając jednak przed tem Kielfównę, że jeżeli się nie stawi na jego wezwanie w oznaczonem przez niego miejscu, to ją również zastrzeli. Policja wszczęła poszukiwania za zbiegłym Zabłockim. Ciężko rannego Pulwernisa odwieziono do szpitala.

Zemsta lokatorów nad właścicielem domu. Ponieważ Kazimierz Trachnia nie płacił czynszu właścicielowi domu Januszkiewiczowi przy ulicy Południowej w Warszawie, ten postarał się o usunięcie z domu nierzetelnego lokatora. Trachnia postanowił się wobec tego zemścić na nim. Gdy syn właściciela, 17 letni Jerzy, przechodził przez podwórze domu, rzucili się na niego Trachniowie i kilku sąsiadów i dotkliwie pobili niewinnego chłopca. Jedna z kobiet straszliwie go pogryzła. Rannego młodzieńca opatrzył lekarz, sprawcami napadu zajęła się policja.

Tragedja zredukowanego drukarza. 55 letni drukarz Karol Krzemiński pracował dłuższy czas w drukarni Leona Komorowskiego w Warszawie. Przed niejakim czasem został zredukowany, a wobec ogólnego braku pracy nie mógł nigdzie indziej znaleść zajęcia. Żył, jak mógł, ale ostatecznie brakło mu nawet na suchy kawałek chleba. Ponieważ miał jeszcze pewne należności u Komorowskiego, więc często przychodził do jego kancelarji i prosił o ich wypłatę. Ale Komorowski zwlekał, Krzemiński przyszedł jeszcze raz do niego i błagał byłego swego chlebodawcę o wypłacenie choć części, przypadającej mu kwoty, gdyż od rana nikt nic w domu w ustach nie miał, ale Komorowski i tym razem odmówił. Po dłuższej sprzeczce Krzemiński zdenerwowany upadł nagle na ziemię i stracił przytomność. Po przeniesieniu go do bramy zmarł.

Pieniądze na ulicach Białegostoku. Do Białegostoku przybył pewien kupiec z Małopolski po towary. Wiedząc o tem, że fabryki nie udzielają kredytu zbyt chętnie, a za gotówkę sprzedają znacznie taniej, zabrał ze sobą większą ilość złotych i dolarów, a obawiając się kradzieży, pieniądze te umieścił w woreczku w nogawicy spodni. Kiedy przechodził przez ulice Białegostoku, zobaczył ze zdziwieniem, że w powietrzu fruwają banknoty, a gawiedź łapie je z hałasem. Jakież jednak było jego przerażenie, gdy spostrzegł, że to są właśnie jego pieniądze, które mu wysunęły się z rozwiązanego woreczka Przy pomocy policji kupiec odzyskał część utraconych pieniędzy, reszta utonęła w kieszeniach gawiedzi białostockiej.

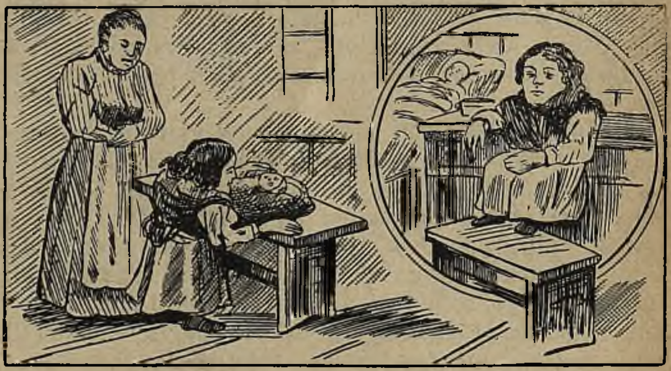
Tragedja w zakładzie dla obłąkanych. Do kancelarji zakładu dla obłąkanych w Choroszczy przybyła jakaś kobieta i podała się za bliską przyjaciółkę 30 letniego pacjenta Mikołaja Kalinowskiego ze Starosielec. Kobieta ta prosiła o pozwolenie na widzenie się z chorym. Wezwano Kalinowskiego do kancelarji i pozwolono mu wyjść z przybyłą do ogrodu. Po upływie czterech godzin Kalinowski wrócił do swego oddziału szpitalnego z podrapaną twarzą, z krwawemi pręgami na szyi. Służbie, śmiejąc się wesoło, oznajmił, że zamordował swoją żonę i nareszcie się jej pozbył. Po dłuższych poszukiwaniach znaleziono wreszcie w piwnicy potwornie zmasakrowane zwłoki owej kobiety. Jak ustalono, warjat udusił po zaciętej walce swoją ofiarę. Kim jest owa kobieta, nie zdołano ustalić, gdyż nie posiadała przy sobie żadnych dokumentów.

Bogacze mordercami żebraka. Jeszcze w grudniu 1930 roku znikł z miasteczka Torczyna w powiecie łuckim w zagadkowy sposób popularny żebrak niemowa, Bronisław Jaźwiński, który od szeregu lat trudnił się roznoszeniem wody, a grosz zapracowany skrzętnie składał, żyjąc z jałmużny. Powiadano sobie, że Jaźwiński, jakkolwiek żył z łaski dobrych ludzi, był człowiekiem wcale zamożnym. Wszelkie poszukiwania rodziny i policji pozostały bez rezultatu. Aż w czerwcu następnego roku w lesie szapelskim, oddalonym o 10 kilometrów od Torczyna, lisy wygrzebały zwłoki nieznanego mężczyzny, przykryte warstwą ziemi. Obok leżała mała siekiera. W zwłokach rozpoznano Jaźwińskiego. Nie ulegało wątpliwości, że padł on ofiarą morderstwa. Po długich i mozolnych poszukiwaniach dopiero teraz wykryto morderców. Jak się okazało, byli nimi bogaci gospodarze torczańscy: Aleksander Krut, Teodor Polemiuk, Wasyl Wasiura i Antoni Szczerbiński. Zwabili oni Jaźwińskiego do domu Aleksandra Kruta, upoili go wódką, poczem zadusili go, a rozpłatawszy mu siekierą głowę, obrabowali go z posiadanej gotówki zaszytej w ubraniu, a składającej się z 1.500 złotych w banknotach polskich, dolarach i rublach w złocie. Potem zawlekli swą ofiarę do lasu, gdzie zakopali ją wraz z siekierą.

Epidemja tyfusu w Rosji. Z pogranicza sowieckiego donoszą o wielkich rozmiarach tyfusu plamistego, który dziesiątkuje tamtejszą ludność. Epidemja dotknęła najsilniej powiaty zasławski, ostromyski i kojdanowski. Setki chorych pozostaje bez opieki.

Piekło w „raju“ bolszewickim. Ukraina sowiecka, jak wiadomo, przeżywa ciężkie dni, które zwiastują zbliżającą się klęskę głodu. Obecnie otrzymują porcje żywności tylko urzędnicy bolszewiccy, o resztę ludności rząd zupełnie się nie troszczy. Ludność cywilna musi sama dbać o siebie i wyszukuje wszelkie możliwe sposoby zdobycia pożywienia. Najczęściej poszukiwania żywności nie dają rezultatów i nieszczęśliwi ludzie padają z głodu. W szeregu miejscowości zanotowano nowe wypadki śmierci głodowej. Ludzie masowo uciekają z miast i zapuszczają się w lasy lub błądzą po polach, wyszukując każdą możliwą do zjedzenia roślinę. Nie pogardzają nawet konikami polnemi. Oczywiście pożywienie takie nie moża długo utrzymać organizmu, to też wielu ludzi choruje i po drodze pada. Tak więc Wołyń, Podole i Ukraina po stronie sowieckiej, ten niegdyś spichlerz Europy, nie może wyżywić swoich mieszkańców. Wielkie przestrzenie porosłe są trawą, a smutni ludzie wałęsają się, zanim ich śmierć głodowa nie przytuli na wieki.

Maleńka matka dużego dziecka. W Czerniowcach, na Bukowinie, była bardzo niska dziewczyna, uboga i pracowita, nazwiskiem Janina Bloch. Mimo swego niedużego wzrostu spodobała się pewnemu czeladnikowi krawieckiemu i licząc 25 lat zawarła z nim małżeństwo. Mąż umarł po paru miesiącach, a mała wdowa, czując że zostanie matką, udała się do lekarzy. Ci orzekli, że stan jej jest bardzo niekorzystny, że dziecko jest wprawdzie dobrze rozwinięte, ale w tem położeniu, że trzeba się uciec do operacji, która bezwarunkowo skończyć się musi śmiercią dziecka.



Wtedy karliczka poczęła zaklinać lekarzy, aby przedsięwzięli taką operację, iżby ona raczej zginęła a dziecko zostało uratowane. Lekarze, wzruszeni jej prośbami i miłością matczyną, zdecydowali się na bardzo niebezpieczną operację, która się jednak udała i matka z dzieckiem już po kilku tygodniach mogli zdrowi opuścić szpital. Ale z tą chwilą nasunęła się nowa trudność. Biedna kobietka była bez najmniejszych środków utrzymania. Oddano ją zatem do miejskiego domu schronienia dla ubogich, gdzie znalazła gościnne przyjęcie, jak to widzimy na naszym obrazku.

Śmierć djabła. W jednej ze wsi na Syberji jeden z gospodarzy udał się z żoną w odwiedziny do krewnych. W chacie pozostały dzieci: 11 letni chłopiec i 7 letnia dziewczynka. Późno wieczorem dzieci usłyszały pukanie do drzwi, wystraszony więc chłopiec zapytał: „Kto tam?“, „Ja!“ odpowiedział głos z za drzwi, „Nie znam was“ odparł rezolutny chłopak. „Jakto, czyż mnie nie poznajesz? Jestem twój tatuś!“ Dzieci otworzyły drzwi i ku swemu przerażeniu zobaczyły przed sobą jakąś straszną, czarną postać. Dzieci cofnęły się szybko i ukryły pod ławką. Ale straszny gość krzyknął na dzieci i zawołał: „Jestem djabeł i zaraz was zjem jeżeli nie powiecie, gdzie tatuś chowa pieniądze!“ Wystraszone dzieci powiedziały mu, że ojciec chowa pieniądze w piwnicy. „Djabeł“ otworzył drzwi do piwnicy w podłodze, wszedł tam i zaczął poszukiwać pieniędzy. Tymczasem chłopiec zaczął naradzać się z siostrą. Wiedziały, że djabeł nie znajdzie pieniędzy, bo ich tam nie było, więc obawiały się, że zostaną przez niego pożarte. W czasie narady dziewczynka przypomniała sobie, że ojciec chowa rewolwer pod poduszką. Jakoż rzeczywiście i teraz tam go odnalazły. Chłopiec wydobył rewolwer i stanął przy drzwiach piwnicy, a kiedy „djabeł“ wysunął kudłaty łeb, strzelił i „djabeł“

wpadł z powrotem pod podłogę. Strzał posłyszeli sąsiedzi i przybiegli do chaty a dowiedziawszy się o wypadku, zaczęli szukać miejscowego wójta. Wobec tego, że nie odszukali we wsi, zawiadomili policję, a ta dokonała oględzin zabitego. Ku ździwieniu wszystkich w postaci „djabła" poznano samego wójta tej wsi już martwego.

Przesilenie w Niemczech. Niemcy żrą się pomiędzy sobą dalej. Kiedy nowowybrany parlament zebrał się na drugie posiedzenie, zaraz na wstępie komuniści postawili wniosek nagły o wyrażenie wotum nieufności rządowi pana Papena. Wówczas kanclerz zażądał głosu, ale przewodniczący parlamentu mu go nie udzielił, ale zarządził głosowanie nad wnioskiem. W tej chwili kanclerz Papen podszedł do przewodniczącego i położył przed nim dekret prezydenta Rzeszy, rozwiązujący parlament. Przewodniczący jednak dekret ów odsunął i przeprowadzał dalej głosowanie. Okazało się, że 513 posłów oświadczyło się przeciw rządowi, 32 za rządem, a 5 powstrzymało się od głosowania. Wobec tego początkowo hitlerowcy zamierzali nie uznać rozwiązania parlamentu, ale odbyć nazajutrz nowe posiedzenie, kiedy jednak przekonali się, że żadne stronnictwo nie pójdzie za nimi, uznali parlament za rozwiązany. Nowe wybory odbędą się za dwa miesiące, a tymczasem prawdopodobnie pan Papen będzie rządził dalej.

Ukłon wojskowy. Jak wiadomo, ukłonem wojskowym jest przyłożenie palców do daszka czapki i zwrot głowy w stronę tego, komu żołnierz się kłania. Ciekawą rzeczą jest, od jak dawna ten zwyczaj panuje i kto go pierwszy w prowadził w życie. Otóż do do roku 1812 wszędzie wojskowi kłaniali się w ten sposób, że stawali frontem do tego, komu mieli oddać ukłon i zdejmowali czapkę z głowy. Dopiero król pruski Fryderyk Wilhelm III wydał rozkaz, wprowadzający salutowanie zapomocą przyłożenia palców do czapki. Praktyczny ten zwyczaj rozpowszechnił się wkrótce w innych państwach i przetrwał do dnia dzisiejszego.

Rozszarpani przez wilka. W pobliżu miejscowości Tenaj na granicy jugosłowiańskiej pracujący w polu wieśniacy napadnięci zostali przez wściekłego wilka, który rozszarpał trzy osoby. Wieśniacy, którzy posiadali tylko swe sierpy do obrony, walczyli z napastnikiem w nadzwyczaj trudnych warunkach. Dopiero po długiej i uciążliwej walce udało się unieszkodliwić napastnika. Pószarpani wieśniacy zmarli wszyscy wśród strasznych boleści.

Dowcipny wieśniak. Jedna z gazet włoskich opisuje zabawną scenę uliczną w Rzymie. Na jednej z ulic stał biedny, mały osiołek, który nie mógł wyciągnąć wózka, naładowanego cegłami. Obok wózka znajdował się woźnica, który tłukł niemiłosiernie biedne zwierzę i krzykiem zachęcał je do pracy. Naraz nadchodzi jakiś pułkownik. Przez kilka minut przypatrywał się tej scenie, wreszcie zbliżywszy się do woźnicy, krzyknął: „Co wy robicie? Zaprzestańcie w tej chwili bicia! Czyż wam nie wstyd katować to biedne zwierzę? Gdzie jest policjant?" Woźnica wysłuchał spokojnie wszystkich zarzutów. Potem rzucił bat na ziemię, stanął przed osłem, zdjął pokornie kapelusz i rzekł uniżenie: „Mój kochany, bądź cierpliwy, znamy się od dawna, a nie mówiłeś mi nigdy, że masz przyjaciół pomiędzy oficerami; ponieważ obecnie dowiedziałem się o tem, nie będę cię już nigdy bił. Proszę cię, przebacz mi! „Pułkownik, który nie mógł powstrzymać się od śmiechu, oddalił się, ale i chłop nie katował już więcej biednego osła.

Przyjaźń psa z koniem. Że pies przywiązuje się do człowieka, to rzecz wiadoma, ale żeby się przywiązywał do innego zwierzęcia, to zdarza się rzadziej. A jednak taki wypadek zaszedł we Francji. Pewien ogrodnik zauważył, że codzień ginie mu znaczna ilość marchwi z koszyka. Chcąc odkryć złodzieja, schował się w pobliżu, lecz jakież było jego źdźiwienie, kiedy spostrzegł, że ulubiony jego pies chyłkiem zbliżył się do koszyka i porwawszy marchew, pobiegł z nią do stajni. Zaciekawiony ogrodnik poszedł za nim i przekonał się, że pies położył ukradziony przysmak przed koniem, z którym żył w wielkiej przyjaźni. Wrócił się potem do ogrodu po nowy transport marchwi i nosił ją, dopóki nic nie zostało w koszyku. W stajni był jeszcze drugi koń, ale ten nic nie dostawał.

Stracenie Gorgułowa. Morderca prezydenta Francji Doumera, Gorgułow, został stracony zapomocą gilotyny. W ostatniej chwili przed śmiercią po krótkiem wahaniu przyjął popa prawosłownego, wyspowiadał się i bez oporu poddał się strasznej egzekucji. Ostatnie słowa jego były: „Nie jestem monarchistą, ani komunistą. Umieram, jak wszyscy chłopi w Rosji sowieckiej!".

Straszna katastrofa kolejowa. W Algierze, w Afryce, w okolicy Tlemcen wydarzyła się straszliwa katastrofa kolejowa. A mianowicie wpadł tam do stumetrowej przepaści cały pociąg, wiozący 1.510 żołnierzy i oficerów, Legji cudzoziemskiej. Z dotychczas niestwierdzonego powodu wykoleiła się lokomotywa i runęła, w przepaść, pociągając za sobą cały pociąg, złożony z 31 wagonów. Skutki katastrofy okazały się straszne: trupem padło przeszło 120 osób, ciężko rannych zostało 200. Z obsługi kolejowej ocalał tylko palacz, który na czas zeskoczył z lokomotywy i jeden konduktor, jadący w ostatnim wagonie. Po usunięciu złomów pociągu może się okazać, że liczba zabitych jest znacznie większa.

Tycie z miłości. Ludzie robią najdziwaczniejsze doświadczenia, a wyniki ich uważają za pewnik niezbity. Takie dziwaczne doświadczenie zrobił pewien badacz amerykański, który wziął pod obserwację dwie kobiety o jednakowej tuszy: jedna zakochana szalenie, a druga nieczuła na wszelką miłość. Obserwując je, stwierdził, że u pierwszej żołądek lepiej działał, skutkiem czego zakochana tyła, podczas gdy obojętna utrzymywała się wciąż w tej samej wadze. Jeżeliby to była prawda, to znaczyłoby, że im kto tłuściejszy, ten jest tembardziej zakochany.

Oryginalne samobójstwo. Trzydziestodwuletnia nauczycielka Margery Fletcher w Waszyngtonie utraciła wskutek kryzysu posadę. Biedna panienka, nie mogąc znaleść innego zajęcia, za ostatnie 25 dolarów wynajęła samolot, mówiąc, że chce polecieć w odwiedziny do swojego wuja w Annapolis. Kiedy samolot wzbił się na wysokość 600 metrów, desperatka wyskoczyła z niego, ponosząc oczywiście śmierć na miejscu. Z pozostawionych listów w domu dowiedziano się dopiero o jej zamiarach samobójczych.

Udusił własną żonę. Pewien dyplomata japoński, bawiący w Europie, poznał i pokochał piękną tancerkę, z którą się też wkońcu ożenił. Po niejakim czasie został przeniesiony do ojczyzny, gdzie też wyjechał z swą młodą małżonką. W ojczyźnie nie był jednak szczęśliwy, gdyż młoda jego żona bywała stale zamyślona i smutna. Zapytywana przez kochającego ją męża nie chciała początkowo dać mu żadnej odpowiedzi, wreszcie wyznała, że jest szpiegiem na usługach własnej ojczyzny. Dyplomata znalazł się w trudnem położeniu; kochał żonę, a nie mógł pozostawić jej bezkarną wobec popełnionej przez nią zbrodni wobec jego ojczyzny. Przełożył jednak dobro własnego kraju nad uczucia swego serca i żonę swoją udusił. Po dokonaniu tego czynu sam popełnił samobójstwo, ale odratowano go. Sąd skazał go na sześć lat więzienia, ale sąd apelacyjny uwolnił go od winy i kary.

RZECZY CIEKAWE.

Dlaczego należy zwalczać muchy?

Z powodu rozporządzenia rządu, by zwalczać muchy podajemy Sz. Czytelnikom kilka liczb w opracowaniu prof. Howarda. Wynika z nich, że z jednej muchy samicy, która 15 kwietnia złożyła pierwsze jaja, o ileby nic nie stało na przeszkodzie zupełnemu rozwojowi jaj i larw muszych, byłoby z tego w dniu 30 września nieprawdopodobnie wiele, bo aż 336 tryljonów much!

1-sze pokolenie składa się z 2 much, 2-gie pokolenie po nich ze 120 much, 3-cie pokolenie po nich ze 7.200 much, 4-te pokolenie po nich ze 432.000 much, 5-te pokolenie po nich ze 25.000.000 much, 6-te pokolenie po nich ze 1,555.000.000 much, 7-me pokolenie po nich ze 93,312.000.000 much, 8-me pokolenie po nich ze 5,598.720.000.000 much, 9-te pokolenie po nich ze 335,923.200.000.000 much.

Ponieważ te liczby nie mieszczą się dokładnie w pojęciach cyfr codziennych zatem uprzytomnijmy sobie, że skoro mucha średnio od głowy do końca skrzydeł ma 1 cm. długości, to owa ilość much 9-go pokolenia ułożyłaby się we wstędze 3.360 miljonów kilometrów długą, to jest ponad 20 razy odległość ziemi od słońca!

Albo muchy 5-go pokolenia w ilości około 26 miljonów sztuk pokryłyby od stóp do głów dziewczynkę wysokości 1 metra, zaś muchy 9-tego pokolenia otoczyłyby nieprzenikniona chmurą całą niższą wieżę kościoła Marjackiego w Krakowie, lub tej samej wysokości kościół katedralny św. Jana w Warszawie!

Dlatego, że mucha się tak łatwo mnoży, że jest rozsadnikiem chorób, zarazków, trzeba ją zwalczać lepem trucizną, czystością w domu i koło domu zalewaniem dołów z nieczystościami wapnem, ropą, pomaganiem różnym owadom (przez ich nietępienie) i ptakom do zjadania jaj i larw muszych i much rozwiniętych. Walczmy z plagą muszą, jako z jednem z ważnych zagadnień higjeny społecznej.

Aparat do niszczenia komarów.

Młoda mieszkanka wyspy Camarague, we Francji południowej, panna Germaine Gourdon, zarejestrowała w urzędzie patentowym w Marsylji aparat swego pomysłu, służący do gromadnego tępienia komarów.

Wyspa Camarague, utworzona przez deltę Rodanu, słynie zarówno z hodowli rasowego bydła rogatego, jak i z obfitości komarów malarycznych. Według obliczeń przeciętna ilość wykluwających się tam dziennie komarów tego gatunku wynosi przy końcu lata: 10 miljardów 600 milj. na 1 hektar.

Aparat pomysłu panny Gourdon, działający zapomocą promieni ultrafioletowych, tępi średnio około 6 miljonów tych szkodliwych owadów w ciągu jednej nocy.

Francuskie władze zainteresowały się żywo tym wynalazkiem i projektują w. najbliższej przyszłości założenie 300 aparatów na samej tylko wyspie Camarague.

Oszukiwanie gości weselnych.

W okolicy Smyrny zwiększyła się ostatniemi czasy ilość wypadków porywania młodych dziewcząt z domów rodzinnych. Zaniepokojony ogół uspokoił się dopiero po wyjaśnieniu, że uprowadzenia te nie mają żadnych cech gwałtu, lecz są jako oryginalny skutek gospodarczego kryzysu, czynione dla oszczędności.

Według odwiecznej tradycji rodzice narzeczonej pary obowiązani są do wydania z okazji zaślubin wielkiej uczty weselnej, na które to wielkie jedzenie, mające trwać kilka dni, powinni być zaproszeni wszyscy najbliżsi i najdalsi krewni, przyjaciele, powinowaci i znajomi. Ponieważ uczta taka, która obowiązkowo musi być obfita i wspaniała, pochłania conajmniej połowę posagu, który w obecnych czasach jest mniej niż mały, godzą się po cichu rodzice, zamiast na urządzenie uczt weselnych na mistyfikację porwania narzeczonej. Obie rodziny schodzą się i układają uprowadzenie, po którem już nie można urządzać uczty. Oczywiście, że porwanie odbywa się wówczas bez żadnej przeszkody. Jedynie oszukanymi są tu mieszkańcy wiosek i znajomi, którzy nadarmo cieszą się na gratisowe jedzenie.

Kto żyje najdłużej?

Statystyka jest właściwie rzeczą zawodną, gdyż można ją interpretować w rozmaity sposób, a zależnie od interpretacji zmienia ona swój cel istotny. Nie należy jej jednak lekceważyć, gdyż często udziela ona pouczających wskazówek, co do ważnych zagadnień i problemów. I tak np. dzięki statystyce obalono ostatecznie twierdzenie filozofa Kanta, że kawalerowie żyją dłużej niż żonaci, a stare panny dłużej niż mężatki.

Urzędowa statystyka wykazuje, że np. kobieta zamężna, licząca 30 lat, może przeciętnie liczyć na to, że osiągnie 70 lat. Kawaler, liczący lat 30, może przeciętnie spodziewać się, że będzie żył jeszcze 34 lata, gdy tymczasem człowiek żonaty ma jeszcze przed sobą przeciętnie 40 lat.

Na tem jeszcze nie koniec. Statystyka podaje jeszcze odpowiedź na pytanie: „Kto żeni się z kim?" i tak córki chłopskie poślubiają przeważnie znowu synów chłopskich, a w najbardziej wyjątkowych przypadkach nauczyciela, urzędnika lub obywatela ziemskiego, rzadziej jeszcze robotnika rolnego lub przemysłowca. Także w sferach robotników małżeństwa zamykają się niemal wyłącznie w obrębie przynależności do warstwy robotniczej. Coraz bardziej natomiast zaciera się granicą między mieszczaństwem i inteligencją. To co dawniej było uważane za mezaljans, dzisiaj jest na porządku dziennym. Córki arystokratów wychodzą zamąż często za przemysłowców, kupców i wyższych urzędników.

Co do ilości dzieci w rozmaitych sferach, to najwięcej dzieci mają małżeństwa chłopskie i robotnicze, najmniej arystokratyczne. Jest to zjawisko łatwo zrozumiałe, gdyż t. zw. warstwy „najniższe" bardzo niechętnie posługują się środkami zapobiegawczemi choć w dzisiejszych czasach utrzymanie większej rodziny jest nielada kłopotem...

Statystyka ta odnosi się do całej Europy, a więc podaje cyfry ogólnikowo, które w obrębie poszczególnych państw musiałyby doznać odpowiedniego zróżniczkowania...

Ile jest wody na świecie?

Zapasy wody na ziemi stanowią oceany topniejące masy lodowe w okolicach podbiegunowych, wody w jeziorach i rzekach, woda zaskórna ziemi, wreszcie woda, znajdująca się w atmosferze.

Woda nagromadzona w oceanach przewyższa wielokrotnie resztę zapasów wody ziemskiej. Unaoczni to następujące zestawienie. Gdybyśmy wodami oceanów równomiernie oblali kulę ziemską, otrzy-

malibyśmy warstwę o 2.700 m. grubości. Woda z lodów podbiegunowych utworzyłaby warstwę 45 metrów grubą, wody z jezior rzek i woda zaskórna 1-metrową, a zapasy wilgoci atmosferycznej już tylko warstwę 26 milimetrową. Zużyta w ciągu roku ilość wody wynosi około 180 tysięcy m. sześciennych.

W ten sposób zapasy wody oceanów zostałyby wyczerpane w ciągu 36 lat gdyby ubytek ten nie był wyrównany opadami i dopływami wód rzecznych.

Proces posuwania się mas lodowych w okolicach podbiegunowych w strefę topienia odbywa się niesłychanie powolnie. Obliczono, że w czasach obecnych zamieniają się w wodę cząstki lodu, które przed 60 tysięcy laty spadły tam jako śnieg. Jako podstawę przy tem obliczeniu przyjmuje się 150 m., jako średnia szybkość roczna posuwających się mas lodowych.

Co się tyczy wody zaskórnej, jest rzeczą bezsporną, że pochodzi ona z epoki lodowej. Dotarła ona jednakże tylko do głębokości 800 m., jak to wykazują badania wietrnicze i szyby kopalniane.

Z powyższego wynika, że ludzkość nie potrzebuje się obawiać, by jej kiedykolwiek zabrakło wody.

Dziwaczne ryby.

W akwarjum w Nowym Jorku duże zainteresowanie budzi ryba, posiadająca jakby dwie ręce, na których opierając się wyskakuje od czasu do czasu z wody i wychodzi sobie na piasek w otaczającem basen ogrodzeniu.

Jest to wogóle ryba tak dziwna, że wiele osób uważa ją za płaza, podobnego do żaby albo jaszczurki. Ma ona ogon podobny do ogona innych ryb, ale zato pysk jej do złudzenia przypomina wdzięczną buzię małego hipopotamka.

Oczy jej, wystające silnie z głowy, nadają „twarzy“ jej wyraz ciągłego przestrachu.

Najciekawsze jednak są jej „ręce“. Znajdują się one w miejscu bocznych pletw i załamują się w stawach ku przodowi. Kończyny podobne są do dłoni, których palce złączone są błonami.

Te to „ręce“ umożliwiają sobliwej rybie wyskakiwanie na ląd i skakanie po piasku. Ponieważ rybki te są dość małe, przeto w skoku wyglądają jak duże koniki polne, Amerykanie nazywają je „skoczkami błotnemi“, co jest bardzo trafną nazwą.

Skoczek błotny pochodzi z Afryki, ale spotkać go można również w wodach azjatyckich. Wychodząc na ląd na polowanie za owadami, nabiera sobie zapas wody w specjalny worek, co umożliwia mu pobyt na lądzie przez pewien niezbyt długi czas.

ODPOWIEDZI REDAKCJI.

Pp.: **Michał Drozd** w Ż.: Sam odgłos w stebniku pszczołom nie zaszkodzi, gorzejby było, gdyby się dały odczuwać wstrząsy, zwłaszcza silniejsze, to niepokoiłoby pszczoły, wskutek czego mogłyby w zimie spadać na dno ula i ginąć. Jeżeli wstrząsów się nie odczuwa, może Pan być zupełnie spokojny. Weszcz pszczela nie jest właściwie pasożytem ,ale żywi się miodem wraz z pszczołami. Podobno niszczy je dym tytoniowy, puszczany do ula, gdyż spadają na dno ula, a stamtąd wymiata się je i pali. Sam tego nie próbowałem, gdyż w mej pasiece nigdy się nie pojawiły. Skażony cukier można dawać na zimę bez żadnej obawy. — **Ludwik Kostkiewicz** w W.: Nadesłanie wiersza na konkurs, który był ogłoszony jeszcze 8 kwietnia 1928 roku, jest stanowczo trochę spóźnione. Oczywiście nie zamieścimy. — **Stanisław Jucha** w K.: Wierszyki odłożyliśmy do teczki. — **Karol Ożóg** w N.: Owszem, na ten temat zamieścimy w najbliższych numerach „Roli“ wiele ciekawych wiadomości. Mamy też przygotowanych kilkanaście pięknych obrazków.

Zagadki do nagrody.

1. Metamorfoza.

(Ułożył Antoni Poloczek z P.).

D	R	U	G	I
		·		
B	Ł	O	T	O

Słowo „drugi“ przerobić na słowo „błoto“ w ten sposób, aby stopniowo zmieniać po jednej literze. Podać wyrazy pośrednie między temi dwoma słowami.

2. Szarady.

(Ułeżył Antoni Poloczek z P.).

Pierwsze daje wam zagadkę,
Nie jest trudna wcale
Gdy ją który z was odgadnie
To drugie pochwalę,
Zaś redaktor, jak to wiecie,
W nagrodę mu. książkę trzecie.
Wszystkiego zaś się dowiecie,
Gdy to wszystko odgadniecie.

II.

Pierwsze litera jest w alfabecie
Myślę, że wszyscy już o niej wiecie,
Drugie w Niemców poszukaj mowie,
Każdy posiada zapewne w swej głowie
Trzecie szczególnie wtedy smakuje,
Gdy się całutką noc przebaluje
Całość nazwisko tego człowieka,
Który tajemnice różne docieka.

3. Zagadki.

(Ułożył Florjan Ciebiera z Rz.).

I.

Gdy się litera w litećę schowa,
Powstanie radja część składowa.

II.

Gdy się w literę litera zmieści,
Powstanie tytuł znanej powieści.

III.

(Ułożył Jan Liwosz z S.).

Zwierzę domowe krzywdy nie czyni,
A gdy je odwrócisz, i o „N“ skrócisz,
Na wielbłądzie przebiega stepy pustyni.

4. Logogryf.

(Ułożył Tadeusz Frączek z R.).

☆ ■ ☆ Ptak.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Pływalnia.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Gatunek buraka.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Kolor.
☆ ■ ☆ Lód.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Tytoń.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Dzień.
☆ ■ ☆ Głos w śpiewie.
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Imię męskie.
☆ ☆ ☆ ■ ☆ ☆ ☆ Część domu (zdrob.)
☆ ☆ ■ ☆ ☆ Miara pola.
☆ ■ ☆ Numer inaczej (skróc)

Litery środkowe, czytane z góry na dół dadzą imię i nazwisko znanego etnografa polskiego.

5. Zagadka humorystyczna.

(Ułożył Jan Liwesz z S.).

Pewien Japończyk nazywał się Ki. Jak się w takim razie brat jego nazywa ?

Za dobre rozwiązanie powyższych zagadek przeznaczamy dwie książki.

Termin nadsyłania rozwiązań upływa dnia 30 b. m.

Znaczenie zagadek z Nru 37 „Roli“: 1. Kwadrat magiczny: Atak, tara, Aron, kanarek, rota, eter, karabin, bura, Irka, Naar. 2. Wierszyk do odczytania: Aby wierszyk ów miał rym i rytm, czyta się nietylko słowa, ale i znaki pisarskie, a więc: Pod Warszawą Ciechocinek Muzyka tam gra przecinek Tańczą panny Frania Jania Tańczy z niemi Znak pytania itd. 3. Szarady: I. Sztandar. II. Wystrzały. 4. Zagadka humorystyczna: Tatarak. 5. Bilet wizytowy: Redaktor naczelny i wydawca.

Dobrego rozwiązania wszystkich zagadek nikt nie nadesłał. Częściowe rozwiązanie nadesłał tylko p. Feliks Popielarczyk z S.

Wydawca: Feliks Kowalczyk. Odpowiedzialny redaktor: Antoni St. Bassara.
W drukarni „Czasu“ w Krakowie pod zarządem Leopolda Wójcika.

W epoce wynalazków.

— Tatusiu, a co ludzie mieli, zanim wynaleziono radjo?

— Spokój.



Na szczęście.

Automobilista mówi do swej ofiary, leżącej w szpitalu.

— Ale pan ma szczęście! Czy pan wie, że niejeden czeka miesiącami na miejsce w tym szpitalu?

Miłośnik zwierząt.

— Czy lubi pan zwierzęta?

— O bardzo!

— Które najbardziej?

— Zająca z buraczkami.

Lwowskie jezdnie.

Policjant: — Dlaczego pani jeździ po chodniku?

Automobilistka: — Dlatego, że jezdnia wydaje mi się zbyt wąska.

Giełda płodów rolniczych

z dnia 20 września b. r.

Pszenica	23·00—25·00	Słoma długa	6·50—7·00
Żyto .	18·00—18·25	Ziemniaki stoł.	0·00—0·00
Owies . .	15·50—16·00	Koniczyna nasienn. czer.	000·00—000·00
Jęczmień .	16·50—17·00		
Fasola biała	21·00—23·00	Mąka żytnia	31·00—31·50
Groch zwyk.	26·00—29·00	Mąka pszen.	50 00—51·00
Siano słodk.	8·50—9·00	Otręby pszen.	9·25— 9·75
Łubin żółty	00·00—00·00	Otręby żytnie	9·00— 9·25
Koniczpastew.	9·00—10·00	Mąka czerw.	13·00—14·00

Ceny rozumieją się za towar średniej handl. jakości za 100 kg

Ceny bydła i nierogacizny na krakowskiej targowicy

w dniu 29 września b. r.

Płacono za jeden kilogram żywej wagi I. klasy:

Buhaje .	od 0·60 do 0·72 zł.	Jałownik	od 0·60 do 0·70 zł.
Woły . .	od 0·60 do 0·68 zł.	Cielęta .	od 1·00 do 1·16 zł.
Krowy .	od 0·55 do 0·63 zł.	Kozy i barany	0·00 do 0·00 zł.
Nierogaciznę	1·00 do 1·20 zł.	Nierogaciznę bitej wagi	od 1·40 do 1·56

Wszystkie zaległe numera „Roli“ od Nowego Roku posiadamy w zapasie.